

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 2 stycznia 1915. Nr. 1.

Z oblężonego Przemyśla.

19  **15**

Lotnicy, którzy przywieźli fotografie z Przemyśla dla „Nowości Illustr.“



Groh[illegible]rów, poległych [illegible]rooie Przemyśla.



[illegible]rowanie [illegible] żołnierzy załogi przemyskiej w dniu [illegible]

OD WYDAWNICTWA.

Jedenasty rok swego istnienia zaliczyć musi i Redakcya „Nowości Illustrowanych“ do lat krytycznych, rozpoczęliśmy go bowiem bezrobociem drukarskiem, które zmusiło nas do zmniejszenia objętości pisma. Sprawę wreszcie załatwiono, zdawało się, że nastaną normalne stosunki, które pozwolą nam na rozpoczęcie pracy nad rozwinięciem pisma.

Niestety i teraz zawiodły nadzieje, z początkiem sierpnia rozszalała się nad całą Europą, a głównie nad naszym krajem burza wojenna, której skutki tak dla nas, jak i dla innych wydawnictw były wprost fatalne.

Część personalu Redakcyjnego i wszystkich naszych Zakładów powołano pod broń, odcięcie Krakowa od Królestwa Polskiego a potem i od większej części Galicyi pozbawiło nas kilkunastu tysięcy Prenumeratorów i Czytelników.

Mimo to jednak nie ustaliśmy w pracy, nie szczędząc wysiłków i choć ze stratą materyalną, wydawaliśmy „Nowości Illustrowane“, wiedząc o tem, jak mile widzianym gościem są one w każdym polskim domu. Nawiązaliśmy w tym czasie bezpośrednie stosunki z korespondentami pism zagranicznych, bawiącymi na polu walki i zapewniliśmy sobie ich współpracownictwo, zmogła nas przecież przykra rzeczywistość.

Nr. 46. z dnia 14. listopada był ostatnim, jaki wydaliśmy, w tym czasie powołano pod sztandary wojenne dalszą seryę współpracowników, a zamykając krakowski Urząd pocztowy, uniemożliwiono nam ekspedycyę pisma poza granice miasta.

Z bólem serca rozpoczęliśmy przymusowe bezrobocie, które przerwaliśmy dziś, w chwili, gdy całe polskie społeczeństwo gromadzi się przy stole wigilijnym. Przedstawiał się on smutniej, niż po inne lata, wielu bowiem z naszych najbliższych nie widzieliśmy obok siebie, część ich poszła tam, dokąd ich wezwał obowiązek, część może nigdy już nie powróci, nie tracimy przecież nadziei, że jednak uda nam się przetrwać ten okres burzy i doczekać lepszej przyszłości, która pozwoli na podjęcie normalnej pracy nad dalszym rozwojem pisma, mającego zupełnie wyrugować z naszego kraju wszystkie zagraniczne illustracye.

My, ze swej strony, nie zaniedbamy niczego, co mogłoby się przyczynić do podniesienia poczytności „Nowości Illustrowanych“, sami jednak, bez poparcia polskiego ogółu, nie sprostamy zadaniu.

Warunki materyalne stają się z każdym dniem coraz cięższe, konkurencya zagranicy coraz silniejsza, wymogi czytającej Publiczności coraz większe, praca więc coraz trudniejsza. – Nie straciliśmy przecież energii, szliśmy ciągle naprzód, zwalczając przeszkody, stajemy też wobec społeczeństwa z tą dumą, jaką daje sumienne spełnienie obowiązku.

Podjęliśmy się trudnego zadania, lecz tego nie żałujemy. Choć materyalnych nie przyniosło nam to korzyści, cieszy nas, gdy widzimy, że z dnia na dzień wzrasta liczba naszych przyjaciół i zwolenników, co jest najlepszym dowodem, że społeczeństwo polskie ocenia należycie nasze starania i uważa „Nowości Illustrowane“ za placówkę kulturalną pierwszorzędnej wartości.

Oby jak najrychlej nadszedł czas, gdy nie będzie polskiej zagrody, w którejby nie znano „Nowości Illustrowanych“!

Do tego celu dążymy stale i dopniemy go, ale tylko wtedy, gdy całe nasze społeczeństwo poprze nas moralnie i materyalnie przez jak najliczniejsze wpisywanie się na listę prenumeratorów, wydatek bowiem czterech koron kwartalnie nie jest znowu tak wielkim, jeśli się zważy, że za to otrzymuje się co tydzień numer, będący wiernem odbiciem bieżącej chwili, bo zawierający szereg aktualnych illustracyi i artykułów, dostępnych nawet dla klas średnio wykształconych.

Rocznik „Nowości Illustrowanych“, przeglądany w kilka lat później, to prawdziwy dokument historyczny, przypominający w sposób łatwy i przystępny minione czasy i wszystko to, co wówczas zaszło ważnego, z szczególniejszem uwzględnieniem tego, co nas najbardziej obchodzi, to jest wszystkich dzielnic naszego kraju.

Z Nowym Rokiem 1915. rozpoczynamy dwunasty rok naszego wydawnictwa, żywiąc nadzieję, że w jak najkrótszym czasie zgaśnie ta pożoga, która krwawą łuną oświetliła całą prawie Europę, że po czasach wojny nastanie błogi czas pokoju, dozwalającego na należyty rozwój kulturalnej pracy i naprawę tego, co się w tym okresie zepsuło i zniszczało.

Wytężymy wszystkie siły, by „Nowości Illustrowane“ stanęły na tej wysokości, do której, jako

jedyna polska aktualna illustracya

dojść powinny, prosimy jednak społeczeństwo o poparcie, zapewniając, że zaufania, jakiem ono nas darzy, nie zawiedziemy, nie pragniemy bowiem korzyści materyalnych, lecz całem naszem dążeniem jest, by wysoko podnieść sztandar polskiego imienia, by przekonać świat, że i w Polsce życie umysłowe rozwija się i kwitnie.

By pismo nasze mogło się stale i pokaźnie rozwijać, zapewniliśmy sobie współpracownictwo znanych dziennikarzy i fotografów tak w całej Polsce, jak i daleko poza jej granicami, zamieszczać też będziemy i nadal powieści oryginalne naszych najwybitniejszych autorów, oraz wyborowe tłumaczenia interesujących obcych powieści. Rozszerzymy nadto odpowiednio dział rozrywkowy, wprowadzając z czasem osobną rubrykę, poświęconą grze w szachy, o ile zaś okoliczności pozwolą, postaramy się o

rozszerzenie objętości pisma, nie zwiększając przecież ceny prenumeraty.

Nadto przygotowujemy i na przyszły rok

wielką szaradę konkursową z licznemi i cennemi nagrodami,

za rozwiązanie zaś zagadek i szarad, pomieszczanych w każdym numerze, przeznaczać będziemy, tak jak dotąd, cenne książki treści naukowej i belletrystycznej.

Także i Zakłady „Nowości Illustrowanych“, jak drukarnię, fotografię i cynkografię, staramy się z każdym dniem ulepszać, by odpowiedziały zadaniu i stanęły na tym poziomie, jak tego rodzaju instytucye zagraniczne.

Robimy więc, ile możemy, często nawet ponad siły, reszta należy do społeczeństwa, które powinno nam dopomódz przez zgłaszanie prenumeraty, jednanie nowych abonentów, współpracownictwo, umieszczanie ogłoszeń i t. d.

Ufni, że nie zawiedziemy się na tem, patrzymy śmiało w przyszłość, która, oby była jak najlepszą!

Wobec niemożności wydawania regularnie pisma w tak trudnych, jak obecne, warunkach, spowodowanych wojną, zaznaczamy, że wzamian za zaległe numery, wszystkim naszym P. T. Abonentom **przesuwamy prenumeratę** o tyleż tygodni, tak, że Prenumeratorzy z powodu przymusowych przerw w wydawaniu „Nowości Illustrowanych“ **nie poniosą żadnej straty.**

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy I-szy kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma.

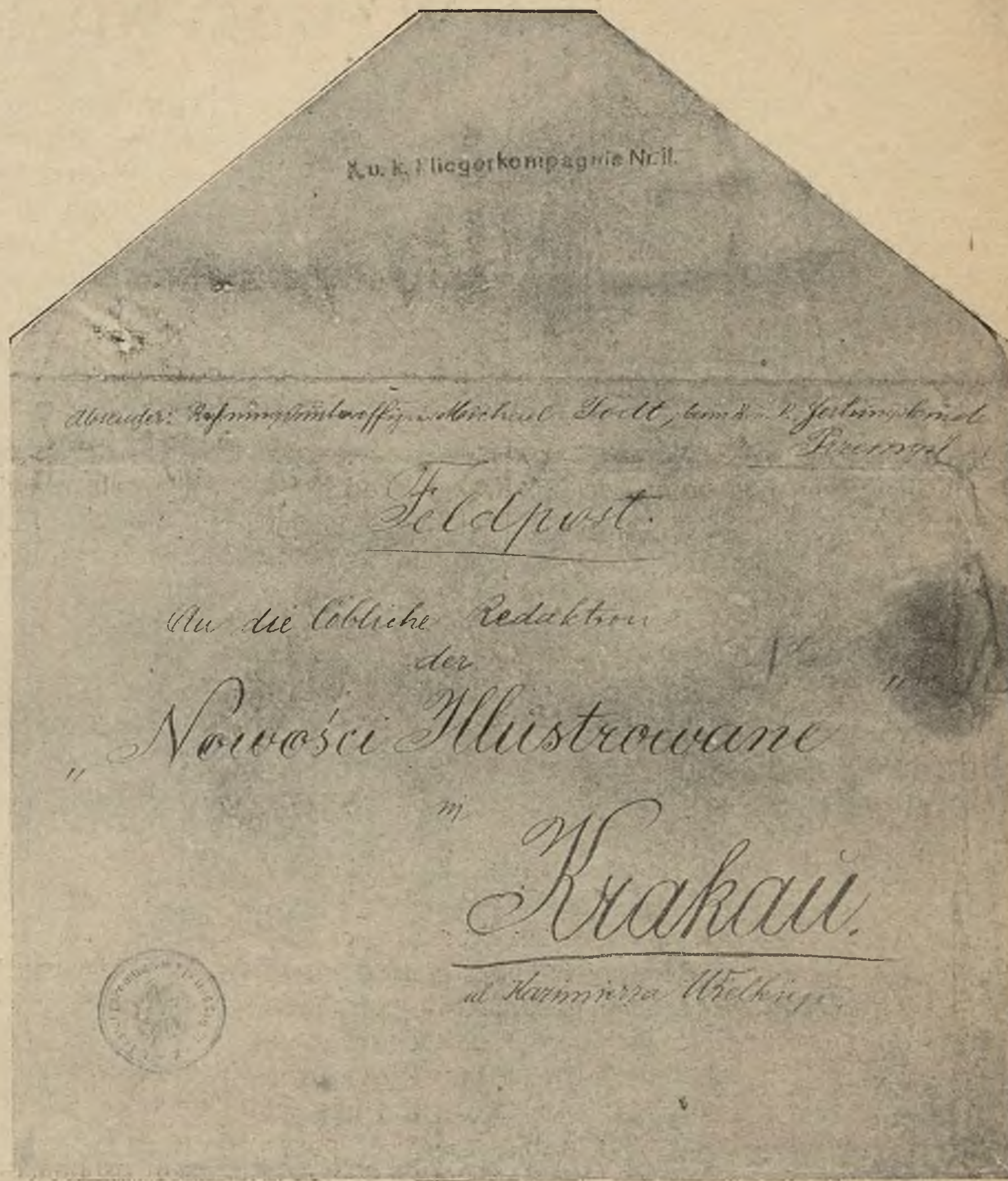
Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8 50 „
Kwartalnie	4 „	4 25 „

Z oblężonego Przemyśla.

Załoga i ludność oblężonego od miesiąca Przemyśla mieli w ubiegłe dni świąteczne miłych gości, mianowicie przybyli tam z Krakowa dwaj lotnicy wojskowi przywożąc od nas życzenia mężnym obrońcom, a obfitą pocztę mieszkańcom miasta. Odważni lotnicy przelecieli ponad pierścieniem oblężniczych wojsk rosyjskich, nie ponosząc najmniejszej szkody od pocisków, które wystrzelili do nich Rosyanie. Pomyślny i brawurowy lot odbywał się w sam dzień wigilijny, a po przebyciu niebezpiecznej podróży powitani zostali w Przemyślu entuzyastycznie. Setki listów, jakie przewieźli do twierdzy i krakowskie gazety, były najmilszym upominkiem dla odciętych od świata przez szereg tygodni. W powrotną podróż wybrali się lotnicy w drugi dzień świąt, zabierając z Przemyśla szereg ważnych wiadomości, tysiące listów między innemi pocztę dla nas, t. j. fotografie naszego korespodenta, wykonane w ostatnich czasach. Powrotną drogę odbyli lotnicy też bez przypadku, a my dzięki tej niezwykłej komunikacyi pocztowej możemy podać naszym Czytelnikom oryginalne fotografie z Przemyśla w dniach bieżących.



Z oblężonego Przemyśla: Koperta listu, przywiezionego nam aeroplanem z Przemyśla



Gwiazdka dla wojska w Krakowie: Choinka na stacyi opatrunkowej tutejszego dworca, pozostającej pod komendą dra Sofera (X). Wśród uczestników wiceprezydent Namiestnictwa delegat dr. Fedorowicz (XX). (Fot. „Kamera". Kraków).



Z oblężonego Przemyśla: Obiad jeńców rosyjskich. (Fot. M. Todt, Przemyśl)

Według relacyi lotników nastrój wśród załogi i mieszkańców jest doskonały. Zwycięzkie wycieczki obrońców, oraz zawsze pomyślne odparcia ataków nieprzyjacielskich usposobiły załogę jak najlepiej, która spokojnie patrzy w przyszłość i spodziewa się zwycięstwa. Życie w mieście płynie normalnym torem, na pozór trudno wprost zdać sobie sprawę, że jest się w oblężonej twierdzy, o czem przypominają tylko armaty, grające na fortach.

Warto wspomnieć jeszcze wyjaśnienie obrońców z okresu poprzedniego oblężenia, umieszczone w „Frankfurter Ztg.". Czytaliśmy tam, że Przemyśl jest otoczony fortami na odległość 60 klm. od miasta. Fortyfikacye są tylko częściowo sztuczne, częściowo zaś naturalne.

Pierwsze oblężenie trwało od 23 września do 9 października; brało w niem udział 9 korpusów rosyjskich. Wojsko austryackie, wyśmienicie odżywiane, było przez cały czas w najlepszym nastroju i — dokazawszy cudów waleczności — straciło podczas oblężenia: 8 zabitych i 153 rannych. Rosyanom udało się raz opanować pobliskie wzgórze, z którego rzucili 52 granatów na miasto, z tego 8 na szpital garnizonowy. Wkrótce jednak Przemyśl skierował na owo wzgórze swe 30·5 centymetrówki. Rozległ się pierwszy strzał, na wzgórzu ukazał się obłok pyłu i wszystko ze wzgórza zniknęło.

Można mieć też nadzieję, że i drugie oblężenie skończy się klęską Rosyan.



Z oblężonego Przemyśla: Jeńcy rosyjscy, wzięci do niewoli po odpartym szturmie na twierdzę. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

FATALNA BLIZNA.

Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

9

— Oto jest ta lista. Jest ona może zbyt obszerna, ale pan nie będziesz się umiał w niej zoryentować. Te nazwiska kosztowały mnie przeszło rok ciężkiej, nieustannej pracy... Niektóre z nich może zdziwią pana na pierwsze wejrzenie. Ale niech pan mi wierzy, że ani jednego nazwiska nie wypisałam tam lekkomyślnie bez dostatecznego powodu... To bardzo wygodna rzecz, kiedy się ma dobroduszną ciocię, która utrzymuje stosunki z najlepszem towarzystwem. Ten nasz dystyngowany świat ma swoje wielce ciekawe tajemnice... Znajdziesz tam panie Percy na tej liście nazwiska kilku łotrów, którzy królują w kołach nowojorskiego *high-life'u*...

— To są ptaszki najtrudniejsze do zdybania — oświadczył Percy — albowiem przestępcę w łachmanach, brudnego, nieufryzowanego pięknie daleko łatwiej jest schwytać... Na każdego nędzarza o t. zw. „podejrzanym wyglądzie" zwraca policya baczną uwagę, ale któżby śmiał podejrzywać i śledzić świetnego panicza, który jeździ własnym automobilem, przegrywa setki i tysiące dolarów na wyścigach, zjada wykwintne kolacye z szampanem w hotelu Astoria lub u Delmonika.

— Na szczęście znajdują się tacy, którzy oczy mają otwarte a patrzeć umieją... — zauważyła kobieta.

Detektyw wziął listę do ręki i zaczął ją przeglądać.

— Tak... mamy tutaj syna znanego magnata naftowego... Młodzieniec ten cieszy się opinią skromnego, pobożnego, jak najlepiej wychowanego. Następnie trzej znani sportsmeni, którzy z niewiadomych źródeł czerpią dochody, ale mają najpiękniejsze konie wyścigowe i najlepszej marki samochody...

— Dalej ci dwaj Anglicy, którzy uchodzą za magnatów, szukających żon u nas za oceanem.

— Tak... to kategorya bardziej pospolita i mniej ciekawa... O! znam tych kilkunastu panów, którzy mają niesłychanie eleganckie żony i niesłychanie szczupłe dochody... Aha... jest na liście także ten młody, zgrabny, jasnowłosy doktorek... Cóż to ja o nim słyszałem?... Podobno ma wpływowego wuja, który stara się o wyrobienie siostrzeńcowi posady lekarza zakładowego w pewnem sanatoryum dla umysłowo chorych... To nazwisko wykreślam...

— Dlaczego, Percy?

— Ponieważ tą sprawą sam osobiście się zajmuję...

— Cóż dalej? Kilku znanych adwokatów... bankier... no i tak dalej... Nieprawdaż, Gino, że trzeba dosyć cywilnej odwagi, aby te znane szanowne nazwiska umieścić na liście „podejrzanych".

— A jednak...

— Naturalnie! A jednak, każda z tych osobistości — prócz owego blondynka doktora — dała już policyi powód do zaliczenia jej w poczet indywiduów „niepewnych".

— Nasz wielki świat jest po większej części bagnem występków i oszustw, osłanianych przed oczyma ludzkiemi przez wszechmożne złoto — zauważyła Gina.

— Przed temi oczyma, które patrzeć nie chcą lub nie umieją — poprawił Brigger....

— Percy, zanim odejdę, czy mogę panu zadać jedno pytanie?

— Ależ naturalnie, Gino!

— Otóż... Przecież napewno na pańskiej liście dawno już były napisane te nazwiska, które mi pan teraz dałeś do wypełnienia... Jeszcze przed porwaniem miss Sheffield... Cóż więc teraz zaszło nowego? Czy któryś z tych dał panu nowy powód do podejrzeń? Czy się co zmieniło?

— Hm! jeden z nich prowadzi wystawne życie na wielką skalę, czerpiąc fundusze z jakiegoś tajemniczego, nikomu bliżej nieznanego źródła. W dwa dni po wypłaceniu sumy wykupu za miss Sheffield kupił sobie wspaniały, najlepszej marki samochód...

— Ależ on nie ma wcale samochodu własnego! — wyrwało się mimowolnie Ginie.

— No! on sam właściwie nie, ale to nie zmienia wcale postaci rzeczy... To człowiek bardzo sprytny, więc umie zachowywać pozory... Ale widzisz, mała koleżanko, żeś się zdradziła... Miałaś te same podejrzenia, co i ja...

— Rzeczywiście, przyznaję... Muszę panu jeszcze opowiedzieć, że ten młody dżentelmen, no ten numer dziewiętnasty z naszej listy, zaczepił mnie wczoraj w parku podczas mojej rannej przechadzki... Dopytywał się z wielką troskliwością o stan zdrowia i nerwów mojej pani i prosił mnie, abym pilnie czuwała nad jej bezpieczeństwem... Gdybym zauważyła, że wokół miss Sheffield kręcą się jakieś nieznajome postacie, mogące budzić podejrzenie o szpiegostwo, to najlepiej byłoby, gdybym to jemu wprost doniosła.

— To jak widzę ten pan troszczy się bardzo o miss Sheffield...

— Tak... Dodał, że najświętszym obowiązkiem wszystkich przyjaciół domu Sheffieldów jest czuwanie nad tem, aby ohydny zamach na wolność miss Allice nie powtórzył się... Uspokoiłam go zapewnieniem, że mojej pani nic nie grozi... Zdaje mi się, że chciał mówić coś więcej, ale się obawiał...

— Gino, trudna rada! będzie pani musiała odgrywać w dalszym ciągu rolę pokojówki, czem zobowiąże mnie pani niewypowiedzianie...

— Ach! głupstwo, ja przecież chętnie...

— Jestem pani niewymownie wdzięczny za wszystko, co pani dotychczas zrobiła... Proszę, niech pani przyrzeknie temu... Nr. 19 przychylić się do jego prośby...

— Dobrze! przy najbliższem spotkaniu z nim, nie zapomnę...

— Teraz muszę udać się do Price'a — rzekł Brigger — to także nieoceniony pomocnik! Czy widziała się pani z panią de Phalénes i czy ona mówiła, że...

— Krótką chwilkę tylko mogłam z nią mówić... Była bardzo zajęta... Wspomniała mi jedynie, że może w najbliższym czasie wybierze się w podróż... Ale to już bardzo późno, najwyższy czas, abym odeszła... Dobranoc, Percy...

Gina odeszła, pozostawiając Briggera zatopionego w myślach nad ową fatalną, długą listą...

Młody detektyw żywił nieograniczone zaufanie do Giny Frinay. Za iście szczęśliwe zdarzenie losu uważał przypadek, który go zaznajomił z tą drobną nikłą na pozór osóbką... Była ona właścicielką owego „Instytutu piękności", umieszczonego na dziesiątem piętrze olbrzymiego „drapacza chmur"... Na szyldzie nad drzwiami wypisanem było wielkiemi literami nazwisko Giny Frinay, która energicznie i niepodzielnie dzierżyła berło w tym cudotwórczym zakładzie.

Tłumną falą napływały z całego miasta klientki, aby poprawiać naturę... Wszystkie szarpnięte zębem czasu lub w jakikolwiek sposób przez matkę przyrodę skrzywdzone „piękności" wielkiego świata nowojorskiego spieszyły tutaj, ponieważ „Instytut" cieszył się sławą cudownego źródła, które wraca młodość i urodę...

Gina jednak rzadko ukazywała się oczom swoich klientek, mogąc się zdać w zupełności na swój doskonale wyćwiczony personal...

Miała ona zresztą w odległej, wytwornej dzielnicy Nowego Jorku inne jeszcze mieszkanie, w którem zupełnie inne nosiła nazwisko...

Mieszkała tam pod opieką starej ciotki, którą zwała zawsze „grande-dame".

Pani ta, mała kobiecinka z okrągłą różową twarzą, lubiła żyć wystawnie i wygodnie, to też w gościnnym jej domu bywali liczni goście z najlepszego towarzystwa, którzy jednak mało zazwyczaj zwracali uwagi na siostrzenicę gospodyni, skromnie trzymającą się na uboczu...

Lekkomyślne i puste życie salonowe nie pociągało bynajmniej energicznej i poważnie myślącej dziewczyny.

Gina czuła się najszczęśliwszą, kiedy mogła oddać się pracy nad prowadzeniem swego wspaniale rozwijającego się „Instytutu piękności" albo też pod kierunkiem Percy'ego Briggera łamać sobie głowę nad jakiemś zawiłem zagadnieniem kryminalnem.

Sprawa porwania Allice Sheffield zainteresowała Ginę ogromnie, to też z prawdziwym zapałem zgodziła się na odgrywanie roli pokojówki...

Jednocześnie oddała Briggerowi drugą wielką przysługę, wypełniając listę „podejrzanych", nad której zestawieniem pracowała już od dłuższego czasu.

W domu Sheffieldów dotychczas nie zdołała zaobserwować nic nadzwyczajnego, nic, coby jakieś specyalne domysły czy podejrzenia nasunąć mogło...

Nie zniechęcało jej to jednak... Postanowiła, że wytrwa w swej roli pokojówki do końca.

Do jakiego końca?...

ROZDZIAŁ XVI.

Wycieczka samochodem z przeszkodami.

Percy Brigger w towarzystwie pani de Phalénes udał się do owego podejrzanego sanatoryum dla umysłowo chorych.

Przybycie swoje detektyw upozorował chęcią umieszczenia w zakładzie chorego krewnego.

Nic jednak osobliwego nie zdołał zauważyć, uderzyła go jedynie ta okoliczność, że podczas zwiedzenia zakładu towarzyszył mu nieustannie tłum posługaczy i posługaczek.

Było to jednak zbyt mało, by przedsięwziąć jakieś stanowcze kroki. Trzeba więc było interesujące sanatoryum pozostawić na razie na boku, a zająć się inną wyprawą wywiadowczą.

* * *

Własność nieszczęsnej rodziny Penbroków, malowniczy pałacyk wiejski, był z trzech stron otoczony trudną do przebycia gęstwiną drzew.

U stóp willi płynęła wązka rzeczka, od której brzegu ciągnęła ku szczytowi pagórka droga jezdna napoły jeszcze nie wykończona.

— Popatrzcie, moje panie, zdaje się, że na tej drodze automobile i wogóle wszelkie pojazdy rzadkimi są gośćmi — zwrócił się młody człowiek do swych towarzyszek, z którymi jechał wygodnie rozparty, w wielkim czarnym automobilu.

Młodzieniec ten, robiący wrażenie miejskiego elegancika, ubrany był w płaszcz w wielkie kraty i czapkę sportową. Oczy miał osłonionione automobilowemi okularami.

— Widocznie w tym domu nikt nie mieszka — odparła jedna z pań. — Ach! nie, tam na balkonie drugiego piętra siedzi ktoś...

— Tak jest! — zawołał młody człowiek — to kobieta! Mam ochotę przesłać ukłon tej samotnej piękności...

— No! no! bezpieczniej przyjrzeć się bliżej tej piękności...

— Ha! to może się i przyjrzymy...

Kobieta, siedząca na balkonie, ujrzawszy przejeżdżający automobil, przechyliła się przez poręcz. Chwilkę spoglądała za mknącym w kierunku południowym samochodem, poczem z westchnieniem osunęła się znowu na krzesło.

— Pierwszy to automobil przejeżdżający widzę od czasu... od czasu, kiedy mieszkam w tym samotnym domu! — szepnęła kobieta i podjęła z ziemi porzuconą poprzednio książkę.

— Nie upłynęło jeszcze pół godziny, gdy na gościńcu dał się słyszeć znowu łoskot motoru automobilowego, zmieszany z gwarem wesołej rozmowy i rozgłośnego śmiechu.

Ten sam czarny automobil ukazał się powtórnie oczom samotnie siedzącej kobiety.

— Ależ to są ci sami! — zawołała sama do siebie z widocznem niezadowoleniem. — Czego oni tutaj właściwie szukają? Ach! Boże, jak oni pędzą... Ależ to najwyższa nieostrożność! A co? nie mówiłam!...

Mknący jak wicher automobil został nagle w bok odrzucony. Ozwał się donośny trzask motoru, któremu zawtórowały piskliwe okrzyki przerażonych pasażerek.

Automobil zatrzymał się. Najwidoczniej motor został uszkodzony i podróżni musieli przerwać swą jazdę.

Kobieta na balkonie śledziła z wielkiem zainteresowaniem ruchy zdenerwowanych wypadkiem turystów.

Krzyczeli wszyscy razem, nie pozwalając jedno drugiemu dojść do słowa, przyczem i giestykulowali gwałtownie.

Szofer wsunął się pod automobil i majstrował coś około motoru. Po chwili ukazał się znowu, potrząsając znacząco głową.

Pan w płaszczu w wielkie kraty wybuchnął gniewem, wyrzucając z ust potok przekleństw, nieużywanych zazwyczaj w towarzystwie eleganckich pań. Przekonawszy się jednak, że gniew jego jest bezskuteczny i zepsutej maszyny z miejsca nie poruszy, uspokoił się i zwrócił się znowu do swych towarzyszek, z któremi odbył krótką naradę.

Nagle brwi spoglądającej z balkonu willi kobiety ściągnęły się na jego czole w głęboką zmarszczkę, znamionującą wielkie niezadowolenie.

Spostrzegła mianowicie, że elegancki młodzieniec „w kratkę" i dwie jego towarzyszki kierują swe kroki ku stromej drodze, prowadzącej do willi.

Mniejsza z pań szła przodem, rozprawiając żywo, wyższa postępowała za nią z majestatyczną powagą, a „kratkowany pan" wlókł się za nimi z tyłu, okazując swymi ociężałymi ruchami dowodnie, że ta cała przygoda wcale mu się nie podoba.

Nie podobała się ona widocznie i samotnej mieszkance willi, o czem świadczyło najlepiej jej zachmurzone czoło...

Nie było jednak rady... Niepożądana wizyta była nieuniknioną...

Kobieta zbiegła szybko ze schodów, aby powitać

niespodzianych gości na parterowej werandzie. Przybrała minę uprzejmą i poważną i zasiadła na jednym z foteli trzcinowych, ustawionych na werandzie, oczekując przybycia turystów...

— Dobry wieczór pani! — zawołała Nelly Larinson-Peach z jednym ze swoich najpiękniejszych uśmieszków. — Czy zechciałaby pani być tak dobrą, aby udzielić nam przytułku choćby na stopniach tej werandy? Nie będziemy się pani długo naprzykrzać, prosimy o gościnność półgodzinną, dopóki nasz niedołęga-szofer nie naprawi automobilu. Tutaj panuje tak rozkoszny chłód, a tam na gościńcu słońce praży niemiłosiernie...

— Ja z upału dostaję ciężkiej migreny! — dodała druga dama.

— Ależ, łaskawi państwo — zawołała uprzejmie gospodyni domu — będzie mi bardzo miło, jeżeli mój skromny dach przyda się wam na coś. Proszę bardzo, zechciejcie państwo zasiąść na werandzie. O tej porze dnia na powietrzu jest daleko przyjemniej, aniżeli w dusznych pokojach.

Przybyłe panie podziękowały za uprzejme przyjęcie i z westchnieniem ulgi zajęły miejsca na werandzie.

Mrukliwy ich towarzysz, ów młodzieniec w płaszczu w wielką kratę, zasiadł na stopniach z miną niezadowoloną i chmurną.

Po bliższem przyjrzeniu zdradzał ten elegancki sporstmen wielkie podobieństwo do Percy'ego Briggera.

Nie brał on żadnego udziału w rozmowie pań i nie zdawał się nią wogóle interesować.

Po chwili powstał i głosem znudzonym, przewlekłym, nosowym, rzekł, jąkając się:

— Muszę zobaczyć e e e... co ten idyota szofer tam e e e... robi... Jakoś mu ta robota wolno e e e... idzie... Przytem zapalę sobie cygaro...

— Nie zaśnij tylko czasem, braciszku, bo widzę, że upalny dzień działa na ciebie usypiająco — zaśmiała się pani Nelly, a następnie zwracając się do gospodyni domu dodała: Mój brat jest wielkim wygodnisiem, to też dąsa się niepomiernie na tę przygodę, która nam zepsuła wycieczkę...

— Nelly, jakaś ty jesteś roztrzepana — odezwała się strofującem tonem wyższa dama — mówisz i mówisz, a zapominasz o tem, żeśmy się jeszcze łaskawej pani domu nie przedstawiły.

— Prawda, prawda! — roześmiała się znowu mała kobietka — ale naprawiam już mój błąd i przedstawiam się: jestem Nelly Larinson-Peach.

— A ja Agnieszka Smitson — dodała towarzyszka.

— A ten mój zaspany młodzieniec — kończyła Nelly — to mój brat Harry.

— Nazwiska Larinson-Peach i Smitson są mi dobrze znane — odparła uprzejmie gospodyni domu.— Ja jestem Marjorie Tharway... Od kilku tygodni pędzę pustelnicze życie w tej samotnej willi. Wynajęłam ją dla mojego chorego syna... Ta niezmącona cisza i balsamiczne powietrze byłyby ożywczem lekarstwem dla starganych nerwów i chorych płuc mojego biednego chłopca...

— Więc syn bawi tutaj razem z panią? — zapytała.

— Ach! nie, niestety! — westchnęła pani domu — podczas uciążliwej podróży z Południa zasłabł tak mocno, że lekarze dopiero za kilka tygodni pozwolą mu na przyjazd...

— Ach! jaka szkoda! Tutaj tak ślicznie i zacisznie — mówiła Nelly. — Rozkoszną doprawdy siedzibę wybudował sobie ten nieszczęsny Penbrok...

— Więc panie znają historyę tej willi?

— Ach! tak, naturalnie... Przecież nazwisko Penbroków było rozgłośnem w świecie... Odgrywali wielką rolę w towarzystwie nowojorskiem...

— Czy pani może bliżej znała Penbroków?...

— Nie! bynajmniej! — żywo odparła pani Larinson-Peach. Uwielbiam tylko talent malarski syna... Podziwiałam na wystawach jego obrazy... Ja przepadam za malarstwem, a ten młody Penbrok był zdaniem mojem nieledwie geniuszem.. Te jego skąpane w słońcu pejzaże tchną życiem i prawdą... Dużo słyszałam o wspaniałej pracowni, którą dla niego ojciec miał w tej willi urządzić...

Tak rzeczywiście, gazety szeroko rozpisywały się o jej wspaniałem urządzeniu... — odparła niedbale gospodyni domu, tylko w oczach jej zamigotał jakiś niespokojny płomyk...

— Ach! droga pani Tharway! — zawołała nagle Nelly — gdybym śmiała zanieść do pani gorącą prośbę...

— Ależ proszę bardzo, czemże służyćbym mogła?

— Byłabym uszczęśliwiona, gdybym mogła zobaczyć tę słynną pracownię,.. Czy pani pozwoli mi ją obejrzeć?...

Pani domu podniosła się szybko, jak gdyby zamierzając spełnić życzenie swego gościa... Uczyniła już kilka kroków ku drzwiom, wiodącym w głąb domu, gdy nagle zatrzymała się:

— Ach! Boże, że też ja zawsze zapominam o tem — zawołała — że drzwi tej nieszczęsnej pracowni zabite gwoździami. Ja sama nigdy w niej nie byłam...

Ach! co za szkoda! — zawołała Nelly. — Czy absolutnie żadnym sposobem nie można dostać się do wnętrza?

— Nie, łaskawa pani, to niemożliwe! Wynajmując tę willę, zobowiązałam się pod żadnym pozorem nie odbijać drzwi i nie zaglądać do pracowni..

— Trudno więc, muszę zrezygnować z mojej zachcianki... — odparła Nelly.

— Jeśli pani jest miłośniczką pięknych widoków, to może sprawi pani przyjemność rzucenie okiem w sieni, przylegającej do pracowni...

— Jeśli to pani nie sprawi kłopotu...

— Ależ bynajmniej! bardzo mi będzie miło...

Proszę, niech panie pozwolą za mną.

Pani Nelly i jej towarzyszka udały się za gospodynią na najwyższe piętro domu...

— Oto tam jest ta słynna świątynia sztuki — rzekła gospodyni, wskazując drzwi, zabite mocnymi ćwiekami...

— Niełatwo byłoby je otworzyć... — zauważyła Agnieszka.

— O! tak! Te drzwi robią wrażenie, jakgdyby ich już nigdy ręka ludzka nie miała uchylić... Ale! oto i widok.

Rozległy się wykrzykniki zachwytu... Widok był rzeczywiście czarujący...

Panie dłuższą chwilę podziwiały szmaragdowe kobierce łąk, ujętych w ramy ciemno-zielonych lasów, poczem zamierzały zejść znowu na dół.

Nagle Nelly zachwiała się i o mało co nie upadła... Oparła się o poręcz okna i trwała bez ruchu...

Przestraszona gospodyni pospieszyła na ratunek swemu gościowi, ale Agnieszka powstrzymała ja:

Ach! to nic ważnego! Ona często miewa takie zawroty głowy... To zaraz przejdzie, trzeba ją tylko zostawić chwilę w spokoju...

Metoda Agnieszki okazała się słuszna, ponieważ po upływie kilku minut Nelly przyszła do siebie...

Z miłym uśmiechem przeprosiła panią Tharway za kłopot i przestrach, jaki jej sprawiła... Następnie wszystkie panie w jak najlepszym humorze zeszły na werandę i powróciły do przerwanej rozmowy...

Pani Tharway w dalszym ciągu uskarżała się na niewygody i przykrości swego pustelniczego życia...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z teatru wojny: Fragment kanału Sueskiego, o posiadanie którego toczą się walki.

Gwiazdka dla wojska w Krakowie.

Za sprawą pań krakowskich, pracujących z całem poświęceniem w ciężkiej służbie samarytańskiej, a przy czynnem, a gorącem poparciu komendanta twierdzy krakowskiej, J. E. generała Kuka i jego małżonki mieli przebywający w Krakowie żołnierze, tak zdrowi jak i ranni i chorzy miłą osłodę swej doli, t. j. uroczystość „gwiazdki“ i choinki. Główną troską otoczono rannych, jako najbardziej tego godnych. a tkliwa opieka pań i ofiarność obywatelska pozwoliły urządzić tą sympatyczną uroczystość pięknie i okazale.

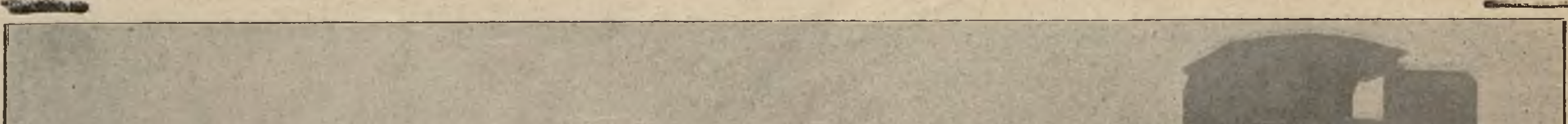
Gwiazdka i choinki odbyły się we wszystkich szpitalach wojskowych, wszystkich kasarniach, a nawet nie zapomniano o najbiedniejszych, t. j. naszych nieszczęśliwych braciach, których los sprowadził do Krakowa w roli jeńców. A mianowicie w tutejszej kasarni im. cesarza Franciszka Józefa, dla przebywających tam w liczbie paruset jeńców Polaków urządzono za specyalnem pozwoleniem J. E. gen. Kuka choinkę i rzewną uroczystość gwiazdki. Tradycyjny gość polskiej wilii, t. j. choinka, zgromadził wokół żołnierzy i oficerów Polaków z obu armii, niedawnych wrogów w krwawych bitwach.



Gwiazdka dla wojska w Krakowie: Choinka, urządzona przez Stow. niewiast katolickich na peronie dworca krakowskiego dla przejezdnych żołnierzy.

Rzewne również uroczystości odbyły się we wszystkich szpitalach; rozpoczęła je choinka urządzona popołudniu w głównym szpitalu garnizonowym, gdzie na początek gwiazdki przybyli wraz z Komendantem twierdzy liczni dostojnicy wojskowi, cały sztab lekarski, panie samarytanki, siostry Miłosierdzia i cała służba sanitarna. Uroczystość rozpoczęło nabożeństwo w kaplicy szpitalnej, którą oprócz gości wypełnili oficerzy-rekonwalescenci, a przedsionek i korytarz lżej ranni i podleczeni żołnierze. Po modlitwach przed ustawioną w kącie kaplicy szopką Betleemską do zebranych przemówił w serdecznych słowach kapelan wojskowy, ks. Kumorek.

Po nabożeństwie goście udali się do sal szpi-



Gwiazdka dla wojska w Krakowie: Komenda dworca kolejowego: 1) Nadpor. dr. Kaz. Kumaniecki, 2) nadpor. dr. Jul. Gertler, 3) nadpor. Kaz. Radwański, 4) porucznik Karol Haller, 5) por. Gustaw Koneczny, 6) komen. żandarmeryi nadpor. dr. Sandig. W głębi stoją pełniący na dworcu służbę: Naczelny lekarz, dr. Szwarzen[illegible]g-Czerny, urzędnik akcyzy, St. Patroński [illegible] Warczew[illegible]



Gwiazdka dla wojska w Krakowie: Choinka w pawilonie wojskowej stacyi opatrunkowej na dworcu krakowskim.

tala, gdzie w każdej na środku stały choinki, z prezentami dla rannych z tej sali. Wśród serdecznego nastroju obchodzili goście wszystkie sale, a generałowa Kukowa osobiście rozdzielała podarki, niosła rannym słowa pociechy i nadziei lepszej przyszłości.

Miłą niespodziankę i radość sprawił swym podwładnym komendant tutejszego dworca, nadporucznik dr. Kumaniecki, który wraz z przydzielonymi tam porucznikami: dr. Gertlerem, Hallerem, Konecznym i Radwańskim, urządził w dniu wigilijnym drzewko dla żołnierzy wartowni tamtejszej komendy. Illustracyę z pięknej tej choinki wraz z fotografiami obecnej Komendy dworca podajemy w numerze bieżącym.

Nadto lekarze wojskowi z dworca kolejowego urządzili w dniu wigilijnym w jednym z budynków nowego dworca towarowego wspólną wieczerzę i „gwiazdkę" dla żołnierzy, oraz funkcyonaryuszów i funkcyonaryuszek przydzielonego do dworca oddziału sanitarnego. Wszyscy obecni otrzymali cenne prezenty, żołnierze według przedtem wyjawionej



Gwiazdka dla wojska w Krakowie: Załoga komendy dworca przy drzewku

woli, np. zegarki, papierośnice etc., a panie bombonierki z cukrami. Po miłej wieczerzy upamiętnili obecni wspólną fotografią tę niezwykłą wilię, a którą podajemy w bieżącym numerze.

W dniu wigilijnym rozbrzmiewał też i dworzec krakowski śpiewami kolendy przy choince, urządzonej tam przez panie krakowskie z „Polskiego Związku Niewiast katolickich“. Panie te z początkiem wojny zorganizowały na peronie gratisowy bufet dla żołnierzy i jeszcze do dzisiaj go utrzymują, a w dniu wigilii urządziły swoim kosztem przy kiosku choinkę. Choinkę oświetlono w chwili odejścia pociągu wieczornego do Wiednia, a wielu pasażerów, przeważnie wojskowych z naszej armii, a także i niemieckiej, którym fundatorki dawały drobne podarki i pamiątki z krakowskiej choinki.

Rzewna uroczystość odbyła się w wieczór wigilijny na stacyi opatrunkowej i w szpitalu, urządzonym w dawnym i nowym dworcu towarowym. Staraniem pracujących tam pań z „Czerwonego Krzyża“ zorganizowano piękną „gwiazdkę“ dla znajdujących się tam czasowo rannych w ostatnich walkach.

W jednej z większych sal ustawiono w pośrodku duże drzewko, a w innych cztery mniejsze, przystrojone wszystkie licznemi ozdobami i prezentami. Wyjątkowo zebrała się znaczna liczba rannych żołnierzy niemieckich, którzy brali udział w uroczystości i na równi ze wszystkimi zostali hojnie obdarowani prezentami. Wieczorem, gdy zapalono choinki, usadowiono koło niej na ławkach lżej rannych, bardziej chorych ułożono obok na noszach.

Na teatrze wojny.

Tydzień świąteczny nie dał przerwy strasznym bitwom, jakie się toczą w całym świecie. Na wszystkich terenach walczono zażarcie, wszędzie odbywała się ta krwawa i okropna praca, a przeciwnicy nie dali sobie wytchnienia. Ogólna sytuacya nie przyniosła zasadniczych zmian, walki z forsownych ataków i kontrataków zamieniły się na pozycyjne oraz taktyczne szachowanie się armii. W tej fazie wojna nie obfituje w doniosłe sukcesy, a tylko drobne na pozór zwycięstwa, czy też zmiany frontu, mają znaczenie w ogólniejszym bilansie rezultatów.

Na wszystkich terenach wojny toczyły się mordercze walki. Na południowem naszem skrzydle walk w Galicyi w dniach ostatnich toczyły się zażarte bitwy o Nowy i Stary Sącz, który nasze wojska odebrały zwycięsko. W bitwie tej odznaczyli się chlubnie legioniści I. pułku.

Również na Podkarpaciu walczono o pozycye przy przełęczach. Ostatnio, według urzędowego doniesienia, cofnęły się nasze wojska od przełęczy Dukielskiej bliżej grzebienia Karpat. Między zaś Białą a Dunajcem, w obszarze na północny wschód od Zakliczyna, zostały odparte bardzo zacięte ataki nieprzyjacielskie.

Z południowego terenu wojny doniosły ostatnie komunikaty, że na terenie wojennym bałkańskim spokój trwa w dalszym ciągu. Terytoryum monarchii tutaj, z wyjątkiem całkiem nieznacznych skrawków granicznych Bośni, Hercegowiny i Dalmacyi południowej, jest wolne od nieprzyjaciół. Wązki skrawek Spizza—Budua Czarnogórcy już przy początku wojny obsadzili. Ich atak na zatokę kotorską zupełnie się nie udał. Już przed dawnym czasem musiały wstrzymać ogień ich działa, jako też działa francuskie, umieszczone na wzgórzach granicznych, a ostrzeliwane przez naszą artyleryę forteczną i okrętową. Również bez rezultatu było, jak wiadomo, kilkakrotne ostrzeliwanie różnych fortów nadbrzeżnych przez oddziały floty francuskiej. Port wojenny więc trzymamy silnie w swojej ręce. Na wschód od Trebinje słabsze oddziały czarnogórskie znajdują się na terenie granicznym hercegowińskim. Wkońcu na wschód od linii Driny, w Foka i Visegradzie, stoją siły serbskie, które stamtąd także podczas naszej ofenzywy nie ustąpiły. (Spizza, to skrawek wybrzeża na południe od zatoki kotorskiej, ciągnący się ku Antivari. W Budua, marnej osadzie, zatrzymują się statki).

Na północnym terenie zmieniły ostatnie walki





Trzej ranni udają się do statku szpitalnego na Wiśle. **Z teatru wojny:** Statek szpitalny zabiera rannych z pod Płocka.



...teatru wojny: ... ki z ... ...oczek Królestw...

o tyle sytuacyę, że wojska niemieckie po sławnem cofnięciu się Hindenburga, ugrupowawszy się na linii Poznań—Toruń, dzięki szybkiemu przesunięciu sił w odpowiedne pozycye, podjęły silną i pomyślną ofenzywę. Hindenburg ugrupował swe trzy armie w ten sposób, że wzdłuż Prus Wschodnich stanęła

Najbardziej obchodzącą nas wiadomość przyniosły pisma w dni świąteczne, a mianowicie pogłoskę za „Kuryerem łódzkim" o bombardowaniu Warszawy.

Pismo to podało: „Po ośmiodniowym spokoju, Warszawa w sobotę (dnia 19 b. m.) przeżyła znowu groźne i straszliwe chwile, W ciągu trzech godzin,

Wojna z Rosyą dochodzi więc do największego nasilenia, a Rosya liczy się z tem poważnie, bo jak doniosły ostatnie depesze, ambasador japoński w Waszyngtonie oświadczył, że Rosya zrzekła się na rzecz Japonii swej połowy Sachalinu za użyczenie ciężkich armat japońskich armiom rosyjskim.



Z teatru wojny: Koncert turecki dla marynarzy niemieckich nad Bosforem.

armia gen. Francois, centrum zajęła armia gen. Mackensena, na południu stanął korpus pospolitacki pod komendą gen. Woyrscha, który łączył się z armią austryacką gen. Dankla.

Walki rozpoczęły się w centrum, gdzie, po uwolnieniu się od otaczającego pierścienia rosyjskiego, Niemcy przez Kutno i Włocławek poszli przebojem na Łódź. Dalsza ofenzywa niemiecka poszła na linię Miazgi i Bzury, gdzie obecnie toczą się zacięte walki. Niemcy prą na Łowicz—Sochaczew, Rosyanie zaś opierają się na Rawce i Nidzie, mając w odwodzie Warszawę.

Walki grudniowe na terenie Królestwa rozgrywały się o to, czy Rosyanie dostaną się na drogę do Berlina, czy Niemcy na drogę do Warszawy. Wedle obecnego stanu rzeczy Niemcy są bliżsi swego celu.

od 6 do 9 rano, rozlegały się po mieście potężne wybuchy eksplodujących bomb. Z dwóch niemieckich aeroplanów wyrzucono na miasto około 80 bomb, mających po 18 centimetrów długości. Ponieważ działo się to stosunkowo wczesnym rankiem, na ulicach niewielu było cywilnych przechodniów; maszerowali żołnierze, ale żaden z nich od bomb nie ucierpiał. W domach wszakże, które zostały zburzone przez bomby, zginęło pod gruzami bardzo wiele osób. Osoba, która przyniosła z Warszawy wiadomość o tym ataku aeroplanów, podaje liczbę ofiar na 1000. Od bomb ucierpiał także dawny zamek królewski. Odłamkami bomby zabity został jeden z najwyższych urzędników administracyjnych Królestwa".

Wiadomość ta jednak nie została jeszcze oficyalnie potwierdzona.

Na zachodnim terenie toczą się gigantyczne zapasy wojsk sprzymierzonych z żelaznym murem armii niemieckiej, lecz ta ostatnia posuwa się powoli systematycznie naprzód.

Z donioślejszych wydarzeń tamtejszej wojny zaznaczyć należy sławny atak niemieckich okrętów na wybrzeża Anglii, a nadto kilkakrotne wizyty lotników i aeronautów niemieckich nad miastami zachodnich wybrzeży Brytanii.

Stary a tak obecnie krwawy rok zakończyła piękna encyklika Ojca św. za pokojem i skończeniem okropnej wojny, dotychczas jednak nie znalazła oddźwięku w sercach zawziętych nieprzyjaciół.



[illegible]wojny: „Jaskiniowe [illegible] w lesie Argońskim.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

24

Nie dziwiłem się już teraz elektrycznym płomieniom przesuwającym się podczas burzy, ponad tem szczególnem zalesieniem. Ale gdzie podziewała się olbrzymia ilość nagromadzonego fluidu podczas każdej burzy, to znaczy dnia każdego? Był to ciekawy problem do wyjaśnienia i napróżno gubiłem się w przeróżnych najskrajniejszych domysłach! Szedłem dalej wzdłuż lasu i przybyłem do rozległej przestrzeni, wyłożonej wielkiemi płytami z przeźroczystego kryształu, z pod których dobiegł mnie szmer płynącej wody. Ukląkłem i poprzez objętość tych ścian szklanych dostrzegłem wielki metalowy bal, na którym umieszczone były rozliczne mniejsze kable gnące pod powierzchnią wody jakiegoś jeziora lub może podziemnego kanału.

Śledząc kierunek największego bala, zobaczyłem, że biegł on w stronę podnóża gigantycznej góry, pod którą ginął.

Nie wątpiłem już, że każdy z tych kabli dosięga stóp jednego z drzew metalowych.

A więc cała olbrzymia energia siły elektrycznej, uwięziona setkami tysięcy konduktorów chroniących, była absorbowana i zużytkowana! Ale w jakim celu? do jakiej pracy?... i to przez straszne stworzenie zamieszkujące górę! Kimże był ten tajemniczy potwór, któremu nie obce były własności siły naturalnej przyrody, który bawił się niemi dla własnej przyjemności zapewne i kaprysu?

Byłem tak zajęty uczynionem odkryciem, że przeszedłem, nie zdając sobie z tego sprawy, przestrzeń wyłożoną taflami z kryształu i zagłębiłem się w las, gdzie najlżejszy powiew wiatru, poruszający jego szczególnem rozgałęzieniem, wywoływał harmonijne dźwięki, jakgdyby dotknięcie strun koncertowej harfy.

— Do czegóż u dyabła służyć może ten prąd potężny! — zawołałem głośno zdjęty dręczącą ciekawością.

I rozmawiając sam ze sobą na podobieństwo szaleńców i ludzi zahypnotyzowanych jedną myślą, szedłem dalej gorączkowo i szybko.

Musiałem iść tak długi czas, bo według mojego obliczenia las ten miał długości conajmniej trzy mile i prawie tyle szerokości.

Zatrzymałem się nareszcie w miejscowości kamienistej i opustoszałej i tylko dla tej przyczyny, że przeciął mi drogę dosyć szeroki strumień. Spostrzegłem wtedy, że przebyłem już całą szerokość lasu elektrycznego i widziałem w oddali rysujący się kształt wulkana, pod którym rozciągała się przestrzeń pokryta lawą, popiołem i kamieniami.

Zabierałem się do przeskoczenia strumienia, kiedy uwagę moją zwrócił gęsty opar wydzielający się z niego.

Zanurzyłem w nim rękę; woda była gorąca. Przez dziwny zbieg wypadków przypuszczenie moje okazało się trafne, miałem przed sobą źródło gorące, tak często spotykane w blizkości wulkanów. A przyznać muszę, że to szczęśliwe odkrycie nie kosztowało mnie wcale trudu i pracy.

Byłem bardzo zadowolony, bo teraz mogłem już bez zwłoki przystąpić do naprawy mojej rozbitej łodzi.

Szczęście, które mnie niespodziewanie nawiedziło, wpłynęło bardzo korzystnie na moje usposobienie i energię. Zabierałem się już do powrotnej drogi po moje czółno, gdy przyszła mi nagła fantazya podążyć za biegiem strumyka, który biegł w stronę podnóża góry.

Po drodze przyłączały się do niego maleńkie źródełka o żółtych, brudnych wodach, po przykrej woni których poznałem, że są źródłami kwaśnej wody mineralnej, również często spotykanej w sąsiedztwie wulkanów. Po uszkodzonych, zżartych czerwoną rdzą brzegach i kamieniach przekonałem się, że woda ta posiada najsilniejsze składniki różnych ostrych kwasów, przeżerających nawet kryształ najgrubszy.

Mięszając się z wodą gorącego źródła kwasy te nadały mu swoją właściwą cechę i gdy doszedłem do podnóża potwornej góry, zauważyłem, że niepowstrzymana niszcząca praca tych wód utworzyła w kamieniu zagłębienie wysokości metra. Prąd wbiegał w tą maleńką grotę, skąd wychodził o kilka kroków dalej gubiąc się w smrodliwem bagnie, cuchnącem siarką, a które przypominało mi okolice dawniej zwiedzanej Etny.

Zatrzymałem się przed grotą i obejrzałem dokładnie kamień, który pokrywał całą górę; w miejscu, gdzie był naruszony działaniem niszczącem kwasu, był zupełnie podobny do kamienia o różowych i zielonych refleksach, z którego składał się mój kask, a który brałem za opal.

Miałem nową zagadkę do rozwiązania, ale nie przywiązywałem do niej zbytniej uwagi.

Wzamian opanowała mnie ciekawość wtargnięcia do groty maleńkiej, której wejście założone było tylko kilkoma drobnymi kamieniami. Lęk i złe przeczucia opuściły mnie zupełnie i czułem się wogóle dobrze usposobiony.

Wsunąłem się pod sklepienie, zginając się i uszedłem w ten sposób kilka kroków początkowo wśród ciemności a dalej otoczony słabem światełkiem, podobnym do blasku księżyca. Grota miała zaledwie dziesięć kroków długości i zakończona była zagłębieniem półokrągłem, skąd wypływało to dziwne księżycowe światło.

Przybliżyłem się i patrzyłem jak patrzy się przez zamgloną szybę i w pierwszej chwili ujrzałem tylko niezdecydowane kontury jakichś nagromadzonych przedmiotów, których kształtu rozróżnić nie mogłem.

Ale nagle wewnętrzne światło wzmogło się i mogłem widzieć doskonale. W moich najszaleńszych przypuszczeniach nie byłbym w stanie wyobrazić sobie czegoś podobnego. Prawda była straszniejsza i naj prawdopodobieńsza, od najfantastyczniejszej wizyi podnieconej wyobraźni.

Nie wiem doprawdy, jakich mam użyć słów do określenia wam tego, co ujrzałem.

Miałem przed sobą gigantyczny, potworny obraz mózgu, któremu ta olbrzymia góra służyła jako czerep ochronny.

Widziałem doskonale rozliczne, wielkie klapy mózgowe, tak rozległe jak wzgórza i rozgałęzienie arteryi, podobne do prądów źródlanych.

Gigantyczne organa skąpane były w jakimś fosforycznym płynie, widzialne dla mojego oka. Widziałem pulsacyę krwi potężną, pracująca wspaniałym ruchem doskonałej maszyny. Zdawało mi się nawet, że prąd ciepły buchał do mnie poprzez gęstą zasłonę przeźroczystych kamieni.

Nigdy jeszcze nie odczuwałem podobnie potężnego zdumienia. Wierzyć nie chciałem rzeczywistości, występującej do mnie w takiej formie i niepewny byłem, czy też nie jestem poprostu igraszka szatańskiej halucynacyi.

Ten twór cudowny, tak daleki od wszelkich normalnych hydotez, przytłaczał mnie zdziwieniem i grozą bez nazwy. Pomimo woli jednak, stałem tam z oczami utkwionemi w ten otwór, dający wizye nieskończoności, nie mając siły do ucieczki. Czułem, że coś potężniejszego odemnie, od woli mojej i rozumu każe mi tu pozostać.

Byłem wprost ogłupiały, zahypnotyzowany tym zawrotnym widokiem. Po długiej chwili dopiero, mogłem się oderwać z tego miejsca i zebrawszy całą energię i przytomność umysłu, schronić się do metalowego lasu. Głowę moją rozsadzał nienaturalny przypływ krwi, pulsa wściekle biły w skroniach, a duszność w piersiach przyprawiała o zawrót głowy. Czułem, że jestem o krok od szaleństwa.

Ten żyjący dowód cudownych przemian i form żywotnych w przeróżnych tworach świata, pogrążał mnie w jakieś głębokie osłupienie, w którem zatracałem zdolność logicznego rozumowania. Ludzie powracający z głębin przepastnych Maelstroemu, i Dante po otrząśnięciu się ze snów, które wiodły go każdej nocy na dno piekła, musiał odczuwać stan podobny.

Zdaje mi się, że przeleżałem godzinę bezwładny, bez myśli, bez żadnej świadomości mojego istnienia.

Gdy powróciłem cośkolwiek do normalniejszego usposobienia, usiłowałem objąć cały ten fakt zjawiskowy, rozumowo i szukać na niego wytłumaczenia.

Najoczywiściej, olbrzymi prąd elektryczny metalowego lasu, przeistoczony przez jakiś nieznany mi jeszcze proceder, dostarczał temu niezwykłemu zbiornikowi komórek, potrzebną ilość siły nerwowej, podczas gdy zastępy pożeranych Wampirów zasilali i odnawiali zapas fosforu żywotnego, ilekroć on się już wyczerpywał.

Wyobrażałem sobie przerażającą potęgę takiej masy o sile tego gatunku. Do czego ona nie była zdolna? i co zdziałać mogła skupiona w jeden punkt ta przemożna, nadnaturalna wola! Nie dziwiłem się już bierności Wampirów, którzy przerażeni wprost na odległość tą siłą, przybywali tłumnie, pomimowolnie ze swoich wież kryształowych do paszczy tej zawrotnej, przyciągającej przepaści.

Ten gigantyczny mózg, wyobrażał w tej części planety, wyrobiony przez naszą imaginacyę obraz Boga Potęgi. On to do woli swojej sprowadzał huragany i burze i zażegnywał je, stwarzał rośliny i zwierzęta, stosownie do jego kaprysu. Nie dziwiłem się już teraz twierdzeniom Wampirów, które dotąd uważałem za przesadzone, że stworzenie to straszne widziało wszystko, słyszało, kiedy tylko tego zapragnęło.

Budowla kamienna — utworzona z tego samego materyału, co mój kask, służący mi za czaszkę — pozwalała im zapewnie dostrzegać wszelkie niewidzialne światła i promienie, nie potrzebując do tego używać źrenic. Olbrzymia gałka oczna odbierała w prostym kierunku wszelkie wrażenia optyczne. Było to coś, przechodzące najfantastyczniejsze pojęcie ludzkie.

Robert Darvel umilkł po silnem wrażenin, wywołanem okropną wizyą tego wspomnienia. W oczach jego błyszczących zapalił się blask gorączki graniczącej z obłędem.

Niemniejsze wzruszenie objawiali jego słuchacze. Ralf Pitcher nerwowo potrząsał głową, jak gdyby odpędzić chciał myśl jakąś niepokojącą, a po zbladłej twarzy miss Alberti raz po raz przebiegał żywszy płomień, świadczący o wewnętrznem podnieceniu. Mała Cherifa siedząca u jej stóp nie rozumiejąc wszystkiego, instyktownie, przejęta wielką trwogą tuliła się do jej sukni.

— Widzę tysiące zapytań w oczach waszych — odezwał się Robert Darvel, otrząsnąwszy się z gorączki, którą wywołały te przeraźliwe wspomnienia. — Zapytujecie się, jak ja człowiek uczony, bo tak przecież nazwać się mogę, a mógłbym dodać jeszcze uczony badacz tamtej planety, mogę sobie w ten sposób tłumaczyć istnienie takiej niezrozumiałej istoty łączyć ją do łańcucha istnień innych! Nie mam na tyle odwagi, aby w podobnej kwestyi wydać stanowcze orzeczenie i pogląd własny, jednakże sądzę, że można poruszyć pewne hypotezy. Czy będą one słuszne sami osądzicie.

Ciekawość i natężona uwaga zabłysła w oczach słuchaczów. Miss Alberta chłonęła wprost słowa narzeczonego.

— Przypuszczam — rzekł Robert Darvel — że wampiry są tylko zarysem, próbką istoty dziwnej i potężnej, którą widziałem. One już teraz mają wygląd wyłącznie przypominający wielki mózg; odtrącając skrzydła i macki będą już podobne do tamtego, potężnego stworzenia. Przypomnijcie sobie co wam już mówiłem o energii i woli, o potędze suggestyi u tych istot pozbawionych kłów i pazurów.

Przypuśćmy, że w przyszłości dalekiej zdolności te dojdą do szczytu doskonałości i rozwinięcia. Ale to nie wytłómaczy, powiecie mi skąd wzięła się potworna objętość jego mózgu; odpowiem wam, że przypuszczam, iż składa się on z tysiąca komórek złożonych, złączonych w jedną przez jakąś ewolucyę nieznaną.

Nie jest to nieprawdopodobne, choć wydaje się to takiem na pierwszy rzut oka.

Wyobraźmy sobie, że człowiek w przyszłości przy pomocniczej sile nauki i czasu pozbędzie się swoich zwierzęcych organów i stanie się tylko materyą myślącą.

Zanik organów trawienia i ruchu sprawi mu dobroczynną ulgę i wpłynie dodatnio na rzeźkość umysłu; żywić się będzie wyłącznie kroplą ze skoncentrowanego pożywienia, organizm jego nie będzie już bowiem podatny do innej czynności, a wola jego i energia spotęguje się w dwójnasób przez ulżenie ciężaru, który ciężył mu poprzednio.

Zauważcie, że już teraz każdy człowiek oddany pracy intelektualnej nie uczuwa już potrzeby ruchu; człowiek, który czyta, pisze lub słucha i mówi jest w stanie fizycznej bezczynności, a w zgromadzeniu ludzi, u których wiedza i nauka zagładzi wszelkie braki i niedokładności zdarza się że ściślością matematyczną, że wszyscy prawie przejęci są tą samą myślą.

Stąd do przypuszczenia, że materyalne siedlisko umysłowe stanie się jednakowe dla wszystkich, że tysiące myślicieli posiadać może razem jeden wielki mózg, jesteśmy bardzo już blizko.

Ale to twierdzenie, do którego później powrócę, mogłoby mnie teraz zaprowadzić za daleko, przechodzę więc do dalszego opowiadania.

Cały ten dzień przepędziłem zajęty głębokiem rozmyślaniem. Wyobrażałem sobie egzystencye tej istoty, uśpionej w marzeniu samoistnie stworzonem czujnej na objawy życia tej planety, którem kierowała do woli, a może zastanawiającej się i analizującej w tej chwili nowy wysiłek własny do nowego etapu wiecznej doskonałości, ku lepszej i piękniejszej jeszcze przyszłości. I mimowoli porównywałem go do nieśmiertelnego Budhy, zamyślonego filozoficznie nad ogromnym kwiatem białego lotosu.

Już teraz nie doświadczałem najlżeszego cienia

przerażenia i wstrętu; było to bezgraniczne zdumienie i gorący podziw tej niezwykłej istoty. Któż pozna te nadzwyczajne odkrycia i nadludzkie, genialne arcydzieła bożka marsiańskiego, skromnie ukryte pod kamienną kopułą góry!? Zacząłem zastanawiać się, czy uwaga jego nie została skierowaną w moją stronę, na moją nędzną osobę, skoro dotąd chronił mnie przed ostateczną zatratą? Czy dobrowolnie, z pewnem wyrachowaniem nawet, dopuścił mnie do odkrycia pewnej części jego tajemnic? Bo jakże sobie mogłem tłumaczyć okoliczność, że dotąd żyłem jeszcze? Po chwili rozmyślania moje wzięły inny kierunek i mówiłem sobie, że może tak głęboko zatopił się w marzeniu własnem, że wola jego wszechmocna przycichła na chwilę, że może ciężar wieków stępił cokolwiek jego wrażliwość i że nadejdzie dzień, w którym, o przyszłości. wielki ten geniusz zaniknie tu, pod górą, jak siły i rozum starca popadającego w dzieciństwo...

Więc może zawdzięczałem życie swoje osłabieniu żywotności tego rodzaju?

Zatopiony w tych myślach zapomniałem już na dobre, że miałem przystąpić do naprawienia mojej zniszczonej łodzi. Nie zdawałem sobie sprawy, wiele czasu upłynęło od chwili tego zdumiewającego odkrycia. Zapadająca noc rozjaśniona tysiącami ognistych błyskawic przywróciła mi nagle przytomność umysłu i pamięć o troskach codziennego życia.

Powróciłem na brzeg morza i pożywiłem się garścią moich ziarn soczystych.

Chciałem już wybrać sobie jakie miejsce do spoczynku, gdy nagle przedemną las metaliczny zajaśniał tysiącem świateł elektrycznych.

Powstałem spiesznie, jakgdyby za dotknięciem ukrytej sprężyny. Miałem szaloną ochotę wykrzyknąć na podobieństwo Archimedesa: „Eureka", bo w jednej chwili ujrzałem za możliwe skomunikować się ze ziemią, a może nawet podporządkować pod moją osobistą władzę istotę wszechwładną dotąd, odkryty niedawno Wielki Umysł!

Położyłem się, pijany wrażeniem i poruszoną ambicyą, obok mojej rozbitej barki, ale tej niezapomnianej nocy oka nawet zmrużyć nie mogłem!

Noc całą umysł mój, podniecony do ostatnich granic, przeżywał myśl, która mnie tak nagle zaskoczyła. Udoskonalałem szczegóły mojego zamiaru i rozumowałem długo nad każdą możliwą przeszkodą, która mogła pokrzyżować moje śmiałe plany.

Gdy dzień zaświtał na niebie, zmąconem jeszcze nawałem chmur, przygnanych burzą, plan mój był cały gotów, a ja wierzyłem głęboko w jego urzeczywistnienie.

Droga powrotna.

— Spiesząc się gorączkowo przystąpiłem do naprawy czółna i tego samego dnia wypłynąłem na morze, odnalazłszy szczęśliwie prąd południowo-północny, który mi został wskazany przez Wampirów.

Nie będę was już zanudzał przedstawieniem rozlicznych drobiazgów. Wielki mój projekt, który tak mnie rozgorączkował, polegał na pozbawieniu tej istoty, zamieszkującej górę tego Wielkiego Umysłu, prądu elektrycznego, który bez żadnych wątpliwości był mu tak potrzebny do egzystencyi, jak nam potrzebne słońce i powietrze.

A wtedy on to zależny będzie od mojej woli i łaski.

Tej potężnej energii, spotrzebowanej każdego wieczora przez drzewa metalowe, użyję do stworzenia sygnałów na Ziemię. Widzicie, że plan był śmiały, nieprawdaż? Jeżeli już raz będę panem sposobu użycia tej siły, materyalna kwestya ujarzmienia jej będzie drobiazgiem dla człowieka obeznanego tak jak ja z techniczną stroną tego zadania. A przytem liczyłem na pomoc Wampirów.

Moja powrotna droga odbyła się w normalnych warunkach bez przeszkód i wypadków żadnych i szczęśliwie wylądowałem pod wieżą kryształową. Moi dawni towarzysze stracili już nadzieję ujrzenia mnie kiedykolwiek. Uradowali się szczerze moim widokiem i na swój oryginalny sposób wypytywali ciekawie o szczegóły mojej niebezpiecznej wyprawy; ale nie powierzyłem im mojego zamiaru i strzegłem się, aby mi go nie wydarli pomimo mojej woli. Powiedziałem im tylko, że wkrótce wybieram się na drugą ekspedycyę i prosiłem o pomoc w poczynieniu spiesznych przygotowań w tym kierunku.

Zbudowałem więc łódź większą i silniejszą od poprzedniej, a z arsenału, znajdującego się w galeryach podmorskich, czerpałem dowoli materyały mi potrzebne: druty metalowe, tuby i zapasy żywności.

Po ośmiu dniach pracy i przygotowań tego rodzaju mogłem się już puścić na projektowaną wyprawę.

Byłem teraz przekonany, że jedno tylko niebezpieczeństwo grozić mi może, a było ono straszniejsze od wszystkich innych już pokonanych. Lękałem się, że Wielki Umysł odgadnie moje zamiary.

Ale obawy moje były płonne; przez cały czas trwania przeprawy służyło mi nieoczekiwane szczęście.

Wylądowałem w blizkości lasu metalicznego pod wieczór i przespałem noc całą w zagłębieniu skały. Zabrałem się do roboty zaraz nazajutrz po przebudzeniu się. Sfabrykowałem z saletry z podziemi około dwudziestu kilogramów prochu i podminowałem nim główną belkę przeprowadzającą prąd elektryczny.

Przyznaję się wam, że z silnem biciem serca i niepokojem, nad którym zapanować nie mogłem, przystąpiłem do zapalenia tej bomby wybuchowej. Knot był dosyć długi, obliczyłem dokładnie minuty od dzielącej mnie katastrofy.

Możecie sobie wyobrazić te chwile wytężonego oczekiwania!... Nareszcie zabrzmiał potężny huk; zdawało mi się, że ziemia zadrżała podemną, ale skończyło się tylko na tem. Byłem sam zdziwiony, że nie padłem rażony gniewem Wielkiego Umysłu!

Kiedy chmura dymu i kurzu rozeszła się trochę w powietrzu, zdecydowałem się zbliżyć. Udało mi się znakomicie, główny przewód elektryczny — z metalu bardzo kruchego — był złamany w dwóch miejscach, a ochronne tafle kryształowe, zmiażdżone, przepuszczały wodę z podziemnego kanału.

Kilka drzew z metalowego lasu zostało uszkodzonych, była to jedyna mimowolna szkoda, którą tym wybuchem wyrządziłem. Ale po obejrzeniu ich, zobaczyłem, że łatwo uszkodzenie to naprawić się da.

Oglądałem wszystko spojrzeniem wielkiego tryumfu i zadowolenia, kiedy nagle horyzont cały otoczony został mgłą ciężką, jak płachtą chmur gęstych. Był to, jak przypuszczałem, ostatni objaw potęgi Wielkiego Umysłu, który dotknięty w swoich żywotnych dziełach, ukrywał się przed nieprzyjacielem, aby w skupieniu rozważać nad doniosłością gromu, który w niego niespodziewanie uderzył!

Oczekiwałem nocy z niecierpliwością żywą, bo do tej pory nie byłem jeszcze bezpieczny; w nocy bowiem wyczerpie się zapas energii elektrycznej, mojego strasznego przeciwnika, a ponieważ nie zdoła jej już napowrót zgromadzić, wszelkie obawy moje będą na razie wykluczone!

Westchnąłem z ulgą i zadowoleniem, gdy pod wieczór ujrzałem pierwsze ognie błyskawic, przeszywające niebo, te pierwsze zwiastuny nadchodzącej burzy i połamane maszty metalowe lasu, opromienione fosforycznym blaskiem. Odetchnąłem całą piersią; byłem uratowany!

Nie spodziewałem się, aby ten kolosalny organizm zesłabł w jednej chwili z braku prądu elektrycznego — mógł zapewne jeszcze przetrwać kilka miesięcy nawet — ale wkońcu, wyczerpany i pokonany, zdany będzie na moją łaskę!

A wtedy będzie zmuszony wydać mi wszystkie swoje ciekawe tajemnice.

Myśli te przepełniły mnie dumą; podniosłem wyzywającym ruchem głowę ku majestatycznej kopule góry, jak gdyby wyzywając jej potężnego mieszkańca do dalszej walki!...

Ale dotąd urzeczywistniona była zaledwie jedna część mojego śmiałego zamiaru. Potrzebna mi była koniecznie pomoc Wampirów z kryształowej wieży do doprowadzenia go do ostatecznych rezultatów.

Powróciłem więc spiesznie do nich; początkowo wierzyć nie chcieli tej nieprawdopodobnej wiadomości i musiałem użyć wielu przekonywujących argumentów, aby skłonić ich kilku do towarzyszenia mi pod górę, która ciągle wywierała jeszcze na nich swój wpływ magiczny i przerażający.

Ale, gdy ci pierwsi przekonali się o prawdzie moich dowodzeń, wszyscy pospieszyli tłumnie i niebo całe pokryło się tym tłumem skrzydlatym i wrzaskliwym przybywających z najodleglejszych wież. Radość ich nie miała granic.

Wytłumaczyłem im teraz już bez trudu, że, jeżeli pragną szczerze być raz na zawsze uwolnieni od tej strasznej zmory, od miesięcznej krwawej daniny, dotąd składanej — muszą ślepo wypełniać wszystkie moje polecenia.

Wybraliśmy obszerną, opustoszałą dolinę, rodzaj Sahary marsiańskiej, o piaskach koloru krwi świeżej, na której rozkazałem ustawić kilkadziesiąt masztów, z których każdy opatrzony był w potężną lampę łukową.

Metale, znalezione w arsenale, były z materyału bardzo podatnego, a rodzaj antracytu, mogącego zastąpić węgle retory, dostarczył mi potrzebnego materyału.

Bal główny lasu metalicznego, a właściwie przewodnik, został podciągnięty aż do lamp łukowych i w niedługim czasie miałem przyjemność widzieć sygnały moje, funkcyonujące sprawnie nocy każdej, z dokładnością nadzwyczajną.

Wampiry współdziałali ze mną z ogromnem oddaniem i solidarnością i, naprawdę, widok ich przy tej pracy nie był banalny. Unosili mackami olbrzymie bale i pręty metalowe, wynosząc je na wskazane miejsca, z zręcznością godną podziwu.

Jednakże, pomimo wszystko, byłem silnie zaniepokojony, w jaki sposób upłynie dzień, wyznaczony na fatalną ofiarę biednych Wampirów! Pozorny spokój i uśpienie Wielkiego Umysłu nie przekonało mnie jeszcze co do jego ugodowych zamiarów. Pewnego dnia wślizgnąłem się przez wody kwaśnego źródła aż do głównego otworu przepaści i ujrzałem wszystkie arterye olbrzymiego mózgu, jaśniejące fosforyzującym blaskiem. Mogłem również skonstatować, że pulsacya tych arteryi nie została jeszcze zastanowiona, tylko stała się słabszą i powolniejszą.

Obawiałem się niespodziewanego przebudzenia się tej strasznej potęgi. Postanowiłem zabezpieczyć się przed wszelkiemi niebezpiecznemi okolicznościami możliwego zmartwychwstania przemożnej siły, którą ujarzmiłem chwilowo, sam zdziwiony tym niezwykłym rezultatem.

W dniu fatalnym, przeznaczonym na całopalną ofiarę Wampirów, rozkazałem, aby ci wszyscy, którzy byli ofiarowani śmierci, ukryli się w najgłębszych kryjówkach galeryi podmorskich, których odrzwia starannie i mocno zatarasowałem.

Miałem nadzieję, że w tem ukryciu będą w mniejszym stopniu podatni na bezwzględny rozkaz, który zmuszał ich do lotu aż do góry śmierci.

Po zachodzie słońca usłyszałem okropne okrzyki trwogi i rozpaczliwe bicie skrzydeł; przejęci i ujarzmieni fatalną suggestyą, Wampiry siłą próbowali się wyrwać przez drzwi przezemnie zabarykadowane.

Nie udało im się jednak tego uczynić i hałas po pewnej chwili przycichł zupełnie. Biedne te stworzenia były uratowane. Wielki Umysł, pozbawiony nagle potrzebnego mu fosforu, tak, jak był już pozbawiony energii elektrycznej, będzie teraz słabnąć, tracąc wszelką wolę i potęgę.

Trzy miesiące upłynęły w ten sam sposób. Wampiry okazywali mi szacunek najgłębszy i ślepe posłuszeństwo. Wszystkie pragnienia moje urzeczywistniali chętnie i gorliwie. Wypełniali wszelkie prace im wyznaczone, dostarczali mi roślin i zwierząt najrzadszych na planecie i przenosili mnie na swoich niewidzialnych skrzydłach, gdzie tylko zapragnąłem. Słowem, miałem w tych potwornych stworzeniach, które niedawno jeszcze nabawiły mnie takiego przerażenia, najwierniejszych i najposłuszniejszych niewolników.

Przy pomocy ich wybrałem się w odwiedziny do moich dawnych przyjaciół, Marsian z lagunów, których obdarzyłem rozlicznymi przedmiotami, mogącymi służyć do codziennego użytku, zachęcając ich do wytrwałości. Spostrzegłem, że uważali mnie za jakąś istotę cudowną, bożka dobroczynnego i łagodnego. Opuściłem ich, dając przyrzeczenie, że o nich nie zapomnę, i choć zdala, czuwać nad nimi zawsze będę.

Przeżyłem te kilka miesięcy w zaczarowanym spokoju i zadowoleniu, jak mag cudotwórca, obsłużony setkami kornych demonów.

I byłbym się czuł zupełnie szczęśliwym, gdyby mnie nie niepokoiło pragnienie ujrzenia Ziemi. Pragnienie to z czasem zamieniło się na dręczące, natrętne marzenie. Ileżto nocy spędziłem na platformach kryształowych wież, topiąc smutne spojrzenia w planecie rodzinnej, która z tego oddalenia przedstawiała mi się, jak plamka dalekiego światła, zagubiona w oceanie gwiazd i dróg astralnych!

Nie traciłem jednak nadziei, że gorące pragnienie ujrzenia Ziemi urzeczywistnię kiedyś w przyszłości.

Po tych wszystkich trudnych zadaniach, już dokonanych, nie było już dla mnie nic niepodobnego do uczynienia. Sygnały moje, jak to już wyżej zaznaczyłem, funkcyonowały doskonale. Przyrząd guziczkowy, w prymitywny sposób urządzony, pozwalał mi zapalać i gasić wszystkie trzy grupy lamp elektrycznych, które miały być dla mieszkańców Ziemi punktem, skąd rozchodziły się sygnały z Marsa.

Początkowo sam pilnowałem ich i w ruch wprawiałem, lecz później wyćwiczyłem kilku Wampirów w wypełnianiu tej czynności, którą wykonywali ku zupełnemu mojemu zadowoleniu. Notowali oni w sposób, którego ich nauczyłem, wszystkie znaki i pory ich wykonania w dużym zeszycie, przezemnie przyrządzonym, w którym już umieściłem krótkie sprawozdanie z rezultatów mojej wyprawy na tę odległą planetę.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Zbombardowana Wieliczka: (Fot W. Swierz).

Stosy broni i amunicyi rosyjskiej, zdobyte w bitwach między Gdowem a Wieliczką. Stajnia w klasztorze OO Reformatów uszkodzona granatem.

Zbombardowana Wieliczka.

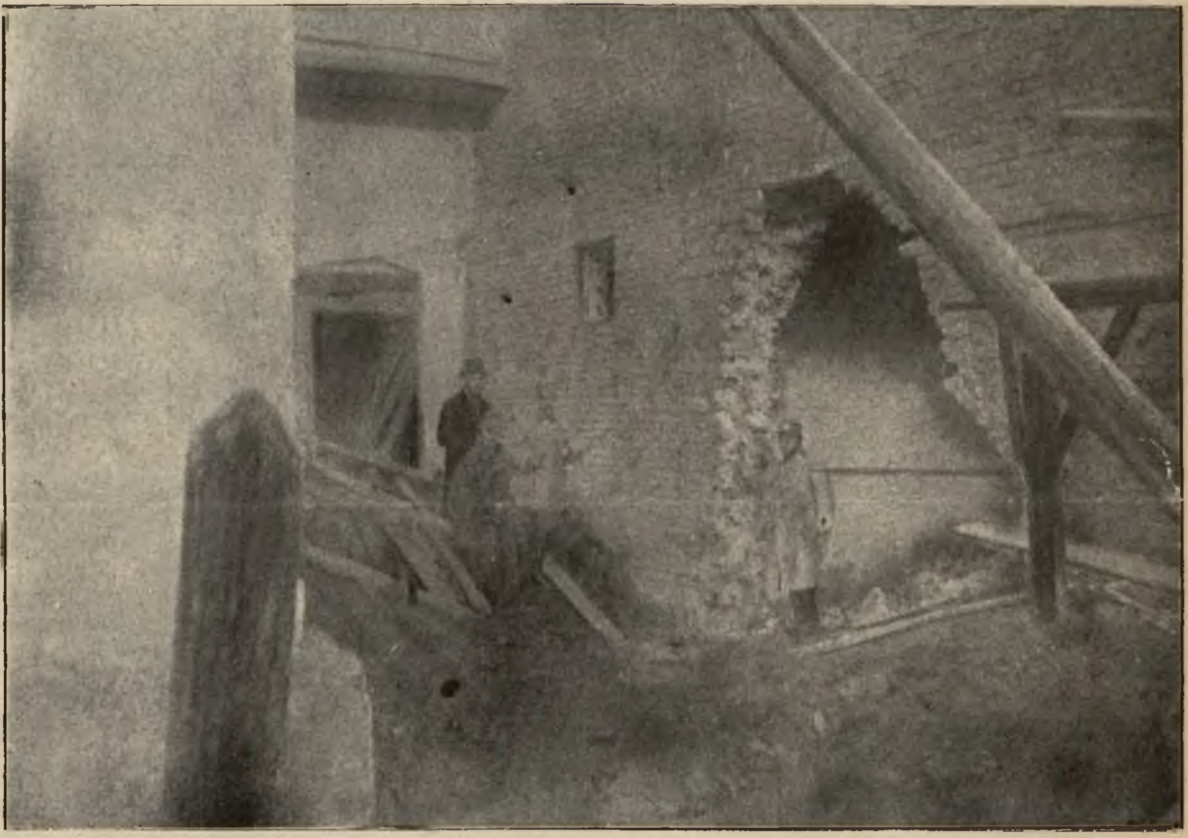
W dniach krytycznych, gdy po Krakowie rozlegało się echo huków armatnich i walk na blizkim nam bardzo terenie bitew pod naszem miastem, przybyli do Wieliczki Rosyanie. Wkroczyli oni do miasta 28 listopada, najpierw jedna sotnia kozaków, która rozpoczęła swą wizytę od gruntownej rekwizycyi chleba, płacąc rublami, według ustanowionego przez nich kursu po cztery korony za jednego rubla. Na drugi dzień przybyła druga sotnia kozaków i większy oddział piechoty, kwaterując się po domach. Nie zabawili jednak długo spokojnie, bo już dnia 30 go poczęły ich prażyć granaty austryackie, przeszkadzając Rosyanom ustawić bateryę na pobliskich wzgórzach. Artylerya austryacka wyraźnie jednak oszczędzała miasto, bo szkody, spowodowane strzałami armatnimi, są bardzo małe. Większe spustoszenia wyrządziły jednak rabunki i „rekwizycye“ żołnierzy rosyjskich, którzy rozbijali pozamykane sklepy jeden po drugim. Zołnierze poszukiwali głównie wódki, piwa, jedzenia i... zegarków. Nie gardzili jednak ubraniami, butami i... pieniędzmi. Spustoszenie i rabunek trwały trzy dni, a nie oszczędzono nawet budynku magistratu, gdzie kozacy dobrali się do zapasów, nagromadzonych dla ludności.

Komendantem miasta był kapitan Chromiński, lecz ten na skargi mieszczan nie bardzo reagował, ani przeszkadzał rabunkowi żołnierzy, tak samo „neutralnie“ zachował się pułkownik.

Silny ogień artyleryi austryackiej wypłoszył wreszcie zupełnie rosyjskich gości z Wieliczki. Stało się to w nocy z dnia 6 na 7 grudnia. Skutki strza-

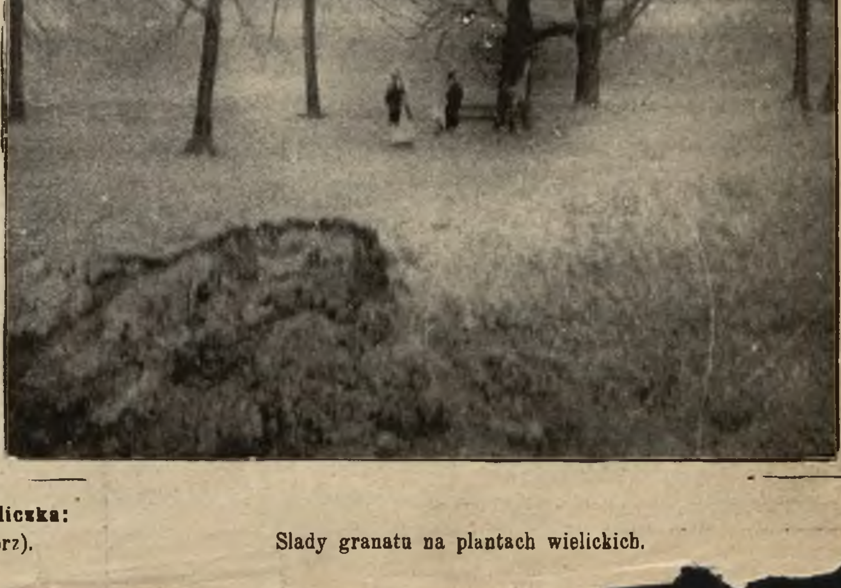


Zbombardowana Wieliczka: Dziedziniec klasztoru OO. Reformatów. X) Okno, przez które wpadł granat i ranił na korytarzu cztery osoby. 1) Dr. Sofer, naczelny lekarz stacyi opatrunkowej, 2) naczelnik sekcyi transportowej Samarytanina, znany artysta sceny krakowskiej p Miarczyński (Fot ks. St. Leśniowski)



Zbombardowana Wieliczka: Dom na Dolnym Rynku, trafiony pociskiem. (Fot. ks. St Leśniowski).





Zbombardowana Wieliczka: (Fot. W. Świerz).

Mur klasztorny uszkodzony granatem. Slady granatu na plantach wielickich.

łów armatnich są następujące: Na facyacie kościoła parafialnego kula strąciła ornament kamienny; uszkodzona część dachu na kaplicy św. Jana w ogrodzie plebańskim; urwany kawał muru na domu trafikanta Sasa; w domu pani Czechowej, mieszczącym starostwo, wybita dziura w dachu i na II. piętrze w murze frontowym; zniszczone dwa domy w salinarnej kolonii robotniczej; dom Wymiatałka do połowy zburzony; kilka domów mniej uszkodzonych. Największe szkody poniósł kościół OO. Reformatów.

Ofiary w ludziach były na szczęście niewielkie. Mianowicie w piwnicy domu kolonii robotniczej została ciężko pokaleczona kobieta z dwojgiem dzieci, dalej w kościele OO. Reformatów zginęli: górnik



Zbombardowana Wieliczka: Największy ochotnik-kucharz i najmniejsza pielęgniarka zwiedzają pobojowisko wielickie. (Fot. W. Swierz).

Jan Hyrchel, szewc Cholewa i młoda wieśniaczka. Nadto zranieni zostali braciszek klasztorny i matka zabitej. Wskutek ran odniesionych zmarł jeden starszy człowiek.



Z obleżonego Przemyśla: Tłumy cisną się do młyna celem kupna mąki. (Fot. M Todt, Przemyśl)



Z oblężonego Przemyśla: Szczęśliwi posiadacze mąki przed młynem. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Monolog ex-króla.

— Kapitały swoje mam w banku angielskim, mieszkam we Francyi, waleczna moja armia bawi chwilowo w Hollandyi, jeńcy w Niemczech, cała moja nadzieja w Rosyi.... I niech mi kto powie, czy nie jestem wzorem politycznej neutralności?

Rzecz zapatrywania.

(Monolog).

— Ha! Ludzie tak chwalą ten spoczynek niedzielny... Ja tam wolę spoczynek w dzień powszedni.

Przy stoliku restauracyjnym.

— Ten radca tyle opowiada historyi, że doprawdy trudno mu uwierzyć!

— Ja też wierzę tylko w połowę tego, co on mówi!

— Ba... I jabym to samo uczynił, gdybym wiedział w którą?

Po amerykańsku.

Córka milionera: A czy kochałby mnie pan i bez pieniędzy, baronie?

Baron: O pani! Od tygodnia nie mam już grosza w kieszeni i teraz dopiero widzę, jak ja panią kocham szalenie!

Wymiana depesz.

W kilku dniach forteca będzie wzięta.
Rennenkampf.

Odwrotnie odpowiedzieć, którą fortecę pan ma na myśli, Przemyśl czy Warszawę?
Mikołaj Mikołajewicz.

Z knajpkowych rozmów.

— I cóż radca dobrodziej powie na to?

— A cóż ja miałbym powiedzieć!... Ja powiem tylko tyle, że powiedziałem to już przed czternastu dniami, a jeśli mi kto nie wierzy, to niech się spyta... Sąsiad dobrodziej może powiedzieć!...

Miles gloriosus.

— Nie masz pan pojęcia, jaką ja odznaczam się zimną krwią!... Niedawno temu, gdym był na polu bitwy, leżałem wraz z mym oddziałem na łanie koniczyny... Szrapnele pękały z hukiem obok nas, granaty ryły ziemię, zasypywał nas po prostu grad kul z karabinów maszynowych...

— I pan nic?

— Nic panie! To jest właściwie nie nic!... Ja szukałem sobie tymczasem czterolistnej koniczyny... Znalazłem kilka okazów, ale gdzieś mi się zapodziały!

Kronika tygodniowa.

Tytuł niniejszy może nie jest zupełnie odpowiedni, kronika bowiem ma być więcej noworoczną, niż tygodniową. Niestety, pan metrampaż oświadczył mi całkiem kategorycznie, że na podobną zmianę ze względów zasadniczych pozwolić nie może, wobec czego pogodziłem się z losem.

Zaczynam, rzecz prosta, od Nowego Roku, nie będę jednak składać życzeń P. T. Czytelnikom, musiałbym chyba powtórzyć to samo, co już w ubiegłym tygodniu napisałem, a to znów nie wypada. Pozwolę sobie przecież zaznaczyć, iż głęboko dotknęła mnie czarna niewdzięczność obywateli rozszerzonego serca Polski, gdyż literalnie ani jeden nie złożył mi życzeń świętalnych, choć się o to przymawiałem. — Mężczyźni, to jeszcze nic, ja wiem, że oni serca nie mają, zupełnie przecież inne wyobrażenie miałem o naszych pięknych Krakowiankach, słynących podobno z czułego na ludzką biedę serca.

Powiadam „podobno", zaleta ta jest wewnętrzną, trzebaby więc każdą najpierw przenicować, by się o tem przekonać.

A może tych czułych wyewakuowano?

Jakkolwiek się stało, stwierdzam fakt dokonany i proszę, by bodaj na przyszłość, gdy się sytuacya poprawi, a konjunktury staną lepszemi, poprawili się i P. T. Krakowianie. Jeśli się to nie stanie, złamię swe „wytworne" pióro i poszukam sobie innego, popłatniejszego zajęcia, bodajby przy tramwaju, skąd płeć piękna zaczęła w czasie wojennym rugować brzydką.

Czy ona jest rzeczywiście piękną, o tem powiedzieć nie mogę, bo się na tem nie znam, zaznaczę jednak mimochodem, iż *ex re* owej damskiej obsługi miałem już awanturę z moją starą, która raczyła najmiłościwiej zauważyć, iż coś zbyt często używam tramwajów, co jest bardzo podejrzanem, ze względu na okoliczność, iż dzieje się to dopiero od tego czasu, odkąd wprowadzono instytucyę konduktorek.

Tłumaczyłem się, jak umiałem, czy to na co się zdało, nie wiem.

— Moja Weronisiu! — powiadam — Konduktorki urzędują od czasu mobilizacyi, więc dopiero pod jesień, a ty wiesz przecież najlepiej, że właśnie wtedy dokucza mi ten przeklęty reumatyzm!

— Dobrze ci tak! — ona na to — Trzeba było w młodości prowadzić bogobojne życie. Dlaczego ja na żaden reumatyzm nie narzekam?... Ty, jak każdy mężczyzna, znajdziesz zawsze wymówkę... Nie wiem jednak, jak Dyrekcya może pozwolić na podobne zgorszenie, bo, że każdy mężczyzna musi być narażony na pokusę, gdy w wązkim tramwaju przeciska się tam i napowrót kobieta, to nie ulega żadnej kwestyi. Zbieramy już podpisy na petycyi, która będzie wręczoną panu Dyrektorowi... Złe należy zdusić w zarodku..

Aby się przekonać o tem „zgorszeniu" na własne swe oczy, wybrała się poczciwa kobieta w podróż wozem tramwajowym, choć tego nie lubi, twierdząc, że czuje się tam, jak w arce Noego, gdzie było, jak wiadomo „wszelkiego stworzenia po parze". Badania jej wypadły widocznie nie najgorzej, od tego czasu do tej kwestyi już nie powróciła.

A może taką ufność pokłada w mej wypróbowanej i zaprzysiężonej wierności małżeńskiej?

Dzień Nowego Roku będzie zapewne, jak i po inne lata, bardzo ruchliwy, gratulantów chyba nie braknie. Choć lwia ich część opuściła Kraków, pozostało ich przecież jeszcze tylu, iż potrafią z precyzyą obsłużyć każdego, kto ma ochotę płacić, bo tylko w ten sposób dziękuje się za „seredeczne" życzenia.

Ja tam jestem obecnie o tyle w lepszem położeniu, iż stróżce mogę nie dać ani centa, nie chodzi mi bowiem wcale o jej względy. (Proszę tego jednak nie brać zbyt tragicznie!) W ubiegłym roku, gdy moja lepsza połowa bawiła z całym żywym i większą częścią martwego inwentarza przez całe wakacye na świeżem powietrzu, a ja zmuszony byłem pędzić tu w Krakowie smutny żywot słomianego wdowca, trzeba było okupić jej dyskrecyę, teraz, gdy jestem niewinny, jak nowonarodzone dziecko, gwizdam na nią! Dostanie, co najwyżej, szóstkę, a i to dość na te ciężkie czasy.

Z kolei przesunie się przez przedpokój i kuchnię cała serya innych typów jak: listonosz, kominiarz (który u mnie żadnego komina nie wyciera, z oszczędności bowiem nie palimy teraz w piecu) i inni.

Do pasyi doprowadza mnie natomiast corocznie zjawiająca się delegacya robotników z zakładu Tallarda, życząca „dobrego zdrowia, fortuny, a po śmierci korony" i wyciągająca równocześnie dyskretnie swe szerokie łapy.

Jestem jednak człowiekiem praktycznym i ostrożnym. W tym roku postarałem się o świadectwo lekarskie, stwierdzające, że „cała rodzina J. W. Kronikarza Nowości Illustrowanych, jak rok długi urządzała austryacki parlament, to jest, cierpiała na obstrukcyę, zasługuje więc na uwzględnienie".

Jeśli zechcą uwierzyć, to i owszem, jeśli nie, gotów jestem zrzucić ich ze schodów, a nie radziłbym im tego, schody bowiem są ciemne, każdy więc mógłby się łatwo znaleźć w tej miłej sytuacyi, o której powiada natchniony poeta:

„...On w egipskich mrokach
Czterdzieści schodów w trzech przebył podskokach"...

Tylko listonosz może liczyć na datek noworoczny, ale także pod warunkiem, mianowicie, jeśli złoży przysięgę, że jak rok długi nie przyniesie ani jednego protestu wekslowego lub pisma upominającego od któregoś z wierzycieli. Listy pieniężne są natomiast bardzo mile widziane i to nawet po kilka dziennie.

Zapytywano mnie z kilku już stron, jaki będzie rok 1915. Niestety, dziś tego powiedzieć nie mogę. Interpelanci zechcą się łaskawie zatrzymać do końca grudnia, wówczas złożę dokładne sprawozdanie, jaki był i prawdopodobnie się nie pomylę. Gdyby bodaj pani de Thébes była już ogłosiła swoje przepowiednie, powtórzyłbym je za nią. Na razie jednak milczy, a wiem, jaką to boleść musi sprawiać gadatliwej niewieście.

Chyba, że już nie żyje, trafiona odłamkiem bomby, rzuconej na Paryż z Zeppelina...

To jedno jest pewnem, że rok 1915. tak, jak i poprzednie, zacznie się w dniu 1. stycznia o godzinie dwunastej w nocy, jeśli *nota bene* nic nadzwyczajnego temu nie przeszkodzi. Powitanie nie będzie tak huczne, jak po inne lata, czasy bowiem są, jak to mówią „pod psem". Nie wątpię przecież, że tu i ówdzie pęknie butelczyna szampitra na okazanie radości, że stary już poszedł spać i podsycenie nadziei, że nowy będzie lepszy. Wiadomo zaś, że właśnie pod wpływem owych „mydlin", jak słusznie szampana nazywa jeden z mych przyjaciół politycznych (czasem ludowiec, w wolnych chwilach zaś narodowy demokrata), zapomina się o bieżących kłopotach, robi nowe długi i żywi lepsze nadzieje na przyszłość. A jakie cudowne składa się wówczas kombinacye polityczne?... Niech się schowają pp. Berchtold, Bethmann-Hollweg i spółka.

Środek owego roku wypadnie, jak zwykle, na koniec lipca, koniec na 31. grudnia, chyba, jak wyżej wspomniałem, gdyby coś zaszło niespodziewanego, za co jednak ani ja, ani Redakcya absolutnie żadnej odpowiedzialności moralnej lub też materyalnej przyjąć nie może. O ile wiem, na rok 1915. nie zapowiedziano żadnej komety ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju, z tej strony nic nam więc nie grozi, o końcu świata także cicho. Chyba... ale dajmy temu spokój, by przypadkiem nie wypowiedzieć paskudnego słowa w złą godzinę. Choćby zresztą i miał być, odłoży się go ze względu na moratoryum.

Ważniejsze pytanie, czy w r. 1915. skończy się wojna?

I na nie nie mogę odpowiedzieć, choć w tej materyi przeprowadziłem korespondencyę z wszystkimi ministrami spraw zagranicznych trójprzymierza i trójporozumienia. Urządziłem z nimi pewien rodzaj ankiety, boję się jednak, czy przypadkiem listy nie zalegają w Urzędzie pocztowym. Gotowi je dostać dopiero po ukończeniu wojny, a wówczas i bez nich będziemy wszystko wiedzieć dokładnie.

Są przecież pewne znaki, wprawdzie tylko na ziemi, nie na niebie, które każą się spodziewać, że wojna rychło się skończy. Chyba, że... (Ten kronikarz, to stał się takim obrzydliwym pesymistą, że aż wstyd!... przyp. zecera).

Jednym, i to najważniejszym z nich, jest tak zwane „Radosne zdarzenie na dworze włoskim". Z telegramów w ten sposób zatytułowanych dowiedujemy się mianowicie, że królowa Helena raczyła najmiłościwiej powić księżniczkę. Fakt to brzemienny w znaczenie i o tak głębokim podkładzie politycznym, iż trudno mi go nawet zgruntować.

Bo, proszę tylko zauważyć! Król Wiktor Emanuel, ojciec nowonarodzonej, *de facto* (inni wolą: *de nomine*) należy do trójprzymierza, królowa Helena, jako córka nieodrodna swego papy, króla Nykity czarnogórskiego, do trójporozumienia. W Kwirynale też, gdzie pierwsze skrzypce gra królowa, kokietuje się trójporozumienie. Pokazało się przecież, że król, który ogłosił zupełną neutralność i teraz jej nie złamał i postarał się, by właśnie w wojennym czasie urodziła mu się córka, a nie syn. Później, gdy dorośnie, wyda się ją za któregoś z książąt krwi trójporozumienia i w ten sposób zaciśnie węzły i wyrówna różnice między trójprzymierzem, a trójporozumieniem.

Bardzo mi się to podoba, nie przestanę też wielbić królowej, iż nawet w tak krytycznej chwili okazała tyle zmysłu politycznego!

Dalej za pokojem przemawia uroczystość trzech króli, która odbyła się nie w Betleem, ale w Malmö, i nie w styczniu, ale w grudniu. Nie ma się jednak czemu dziwić, są to bowiem władcy z północy, nie zaś ze wschodu, jak owi biblijni, i jako dary do szopki mogliby przynieść co najwyżej: paczkę szwedzkich zapałek, pudełko norweskich śledzi i parę duńskich rękawiczek.

Ale oni nie po to się zjechali. Im się spieszy bardzo, każdy bowiem chciałby jak najwięcej skorzystać z sytuacyi i wytargować coś dla swojego kraju za ową neutralność, która prędzej, czy później, musi zyskać nagrodę.

Otóż, jak mnie zapewnia jeden z dyplomatów, który w obradach brał udział (przed laty chodziliśmy razem do szkoły normalnej u św. Barbary, ja jednak dostałem dwóję z gimnastyki, wobec czego nie mogłem się poświęcić karyerze dyplomatycznej...), gniewano się tam ogromnie, że wojna tak się przeciąga, „neutraliści" bowiem chcieliby już raz dowiedzieć się stanowczo, czego który z nich może się spodziewać, jeśli zaś tak dalej pójdzie, jak dotąd, gotów się każdemu dostać tylko owoc południowy, to jest figa, a oni, jako mieszkańcy północy, tego nie lubią.

Postanowili więc wywrzeć nacisk, gdzie potrzeba, by raz już kroki wojenne zakończono i zwołano kongres pokojowy, który z pewnością będzie się kłócił bodaj przez rok cały. Coś podobnego, jak z konferencyą bałkańską w Londynie. Gadano i gadano przez kilka miesięcy z rzędu, a dziś widzimy, że z tego wszystkiego nici...

Jest i trzeci prognostyk, więcej już domowy, że wojna ma się ku końcowi.

Dotąd myślano tylko o czynach wojennych, miłość na drugi plan odsuwając, tymczasem teraz, dla rehabilitacyi poczciwego Amora, który musiał ustąpić miejsca Marsowi, zaczyna, o ile sygnalizowano mi z różnych stron, brać górę trzeźwe zapatrywanie na życie. Ludziska przychodzą do głowy po rozum, że po wojnie trzeba będzie znowu rekrutów i zaręczają się coraz liczniej (chciałem powiedzieć „częściej", boję się jednak, by mnie źle nie zrozumiano, choć i ja próbowałem swojego czasu szczęścia do trzeciego razu!...), by oddać się cichej a owocnej pracy obywatelskiej.

Na razie wszyscy mają tak nabite głowy owemi „grubemi Bertami", że kawalerowie przedkładają większy cielesny kaliber, lekka natomiast artylerya (t. j. chude) nie cieszą się wcale popytem.

I jest w tem racya, jak bowiem powiada prorok: „nim tłusty schudnie, tymczasem chudego dyabli wezmą", a tu na te ciężkie czasy trzeba być przygotowanym na bardzo niewygodną podróż po grudzie... Jarzmo małżeńskie jest ciężkie, tem więc bezpieczniej, im szerszy i silniejszy kark je dźwiga.

Czy moje przepowiednie się spełnią, tego nie wiem, nie przyjmuję też za nie najmniejszej odpowiedzialności, życzę przecież wszystkim, zatem i samemu sobie, by tak się stało, wojna bowiem dała się nam porządnie we znaki. Czyż serce nie pęka każdemu z żałości, gdy się czyta, że „Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy wśród huku armat", którego jednak słychać nie było?

Niechaj więc choć na Wielkanoc nastanie spokój, byśmy mogli spożyć tradycyjnego prosiaczka, jeśli do tego czasu bodaj jeden przy życiu pozostanie! Huk zaś, jak wiadomo, wpływa bardzo ujemnie na funkcye ludzkiego przewodu pokarmowego, co mieliśmy sposobność stwierdzić ze statystyki chorych i „ruchu" zmarłych w okresie poświątecznym.

Aby Szanowni Czytelnicy kronik mieli zawsze świeże i pewne wiadomości polityczne, podawane z pierwszej ręki, postarałem się wysłać w okolice Krakowa swych specyalnych sprawozdawców, by wszędzie, gdzie Moskale byli, lub nie byli, zbadali sytuacyę na miejscu.

Zaszczytnej tej misyi podjęli się młodociani współpracownicy znanego handlu „pod Obrazem", którzy, korzystając z urlopu, wyjechali na święta w strony rodzinne. Na odjezdnem musieli złożyć w me ręce ślubowanie, że nikomu innemu, prócz mnie, interwiewować się nie pozwolą.

Wyjechał więc Władzio do Zabierzowa, Józio do Bochni, Stefan do Jordanowa, a Miecio do Liszek, każdy z nich przeświadczony o doniosłości swej misyi i pewny, że jego nazwisko przejdzie do historyi.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego